

ALEKSANDER ŻITINSKI

ZEGAR Z WARIANTAMI

TYTUŁ ORYGINAŁU: ЧАСЫ С ВАРИАНТАМИ

PRZEKŁAD: SŁAWOMIR KĘDZIERSKI



SIGMA NOT SP. Z O. O. WARSZAWA 1990

Zgodnie z kalendarzem jest dziś 28 czerwca 1985 roku.

To znaczy, że dokładnie za trzy dni znowu będę musiał zdawać egzaminy na uczelnię, którą już raz ukończyłem, jeżeli oczywiście znowu nie skoczę do przodu lub do tyłu.

Jestem wspaniałym skoczkiem.

Ciekawe, ile właściwie mam lat? Według dowodu osobistego, który sterczy z kieszeni dzinsów wraz z włożonymi do niego dwunastoma fotografiami formatu trzy na cztery — siedemnaście. Ale ów wiek, podobnie jak dzisiejsza data w kalendarzu ma sens dla wszystkich ludzi, tylko nie dla mnie.

Ile naprawdę przeżyłem lat, trudno teraz obliczyć. Zbyt wiele razy skakałem tam i z powrotem. Trzeba by było zbierać czas po kawałku. Byłyby wśród nich i zupełnie maleńkie okruszki, po kilka godzin. Zresztą, początkowo wcale nie rejestrowałem, jak długo trwały moje skoki, dokładnie więc już tego nie obliczę. Sądzę jednak, że ogółem przeżyłem jakieś pięćdziesiąt lat.

Nazywam się Siergiej Martyncow. To pewne. Zawsze pozostawałem Siergiejem Martyncowem bez względu na to dokąd skakałem i jak długi był mój skok. Przekonałem się, że nazwisko i imię to jedyna, bezwzględna realność. Wszystko inne mogło ulegać zmianom — przyjaciele, ukochane, wrogowie, zawody i ważne wydarzenia w życiu. Nawet daty urodzin i śmierci.

Ojciec siedzi w sąsiednim pokoju i ogląda się w telewizji. Dopiero co wrócił z Brazylii i obecnie rozmawia na ekranie z brazylijskim zbieraczem kawy. Mój ojciec jest dziennikarzem. Zawsze był dziennikarzem, we wszystkich moich życiach.

Zmarł już w dwudziestym pierwszym wieku, tuż przed jubileuszem stulecia władzy radzieckiej. W „Izwiestiach” zamieszczono nekrolog, w którym nazwano ojca „wybitnym dziennikarzem, specjalistą problematyki międzynarodowej”. Zaraz po pogrzebie skoczyłem wstecz, nie mogłem tego znieść. Przez pierwsze dni po śmierci ojca rozmawiałem z nim ostrożnie, zupełnie jak z duchem. Ojciec nawet pomyślał, że zachorowałem.

— Jakiś jesteś dzisiaj niewyraźny — powiedział.

No pewnie! Gdyby wiedział, że trzy dni temu stałem z matką w domu przedpogrzebowym słuchając żałobnej muzyki... Ale mówić mu o tym nie miało sensu. Wtedy na pewno uzna, że zachorowałem.

Tymczasem moje zachowanie nie ma nic wspólnego z chorobą. I psychikę mam zupełnie normalną, choć rzeczywiście mogła mi się rozregulować. Spróbujcie porozmawiać

na jawie z własnym ojcem po jego śmierci, albo obudzić się w pokoju z nieznaną kobietą i dowiedzieć się, że to własna żona. Zresztą, o tym później.

Mam zamiar powiedzieć tu o swoim życiu, albo dokładniej mówiąc, o swoich życiach, bowiem miałem ich dość dużo. Nie chodzi nawet o to, że były ciekawe. Po prostu zdarzyło mi się jednym skokiem przenosić się tam, dokąd inni muszą jeszcze dojść. Nie twierdzę, że na pewno tam dojdą. Wszystko zależy od konkretnej drogi, dróg zaś jak się przekonałem, jest nieskończenie wiele.

Historia ta zaczęła się rok temu... Znowu jestem zmuszony się zatrzymać, aby wyjaśnić, że w rzeczywistości zaczęła się bardzo dawno, wiele żywotów temu, ale według kalendarza zdarzyło się to w osiemdziesiątym czwartym. Powinienem również uprzedzić, że nie należy zbyt ufać powiedzeniu „w rzeczywistości”. Żadnego „w rzeczywistości” nie ma, jak się można będzie przekonać.

Jednym słowem, kiedy po raz pierwszy skończyłem szesnaście lat, przyszedł do mnie dziadek.

Byłem w pokoju sam. Kończyły się ferie wiosenne — leżałem na tapczanie ze słuchawkami stereo na uszach i słuchałem płytę „Druga strona Księżycy” grupy „Pink Floyd”. Trochę się zestarzała, ale podobała mi się jak dawniej. Ojciec był w Japonii, matka w pracy. Zegar wskazywał pół do dwunastej.

Drzwi dziadkowi otworzyła pewnie Swietka. Wtedy spodziewała się dziecka, mojego siostrzeńca Nikity i całymi dniami siedziała w domu płacząc ze strachu. Swietka jest trzy lata ode mnie starsza.

Dziadek wszedł bezgłośnie. Zresztą nawet gdyby tupał jak słoń, i tak bym nic nie usłyszał — właśnie szła głośna solówka Richarda Wrighta na organach. Dziadek podszedł do mnie i zdjął mi słuchawki. Popatrzyłem na niego ze zdziwieniem.

Było kilka powodów mojego zdziwienia. Po pierwsze, dziadek przyjeżdżał do nas wyjątkowo rzadko. Jego stosunki z ojcem były dość napięte, bowiem jak mogłem się zorientować, ojciec nie spełnił jego nadziei. Dziennikarstwo według dziadka jest zajęciem niezbyt poważnym i czczym. Dziadek był kontradmirałem w stanie spoczynku. Mieszkał sam, a po śmierci babci pomagała mu starsza kobieta, Antonina Stiepanowa. Dziadek nazywał ją gosposią.

Po drugie, dziadek zjawił się w mundurze. Widziałem go w mundurze dość dawno, we wczesnym dzieciństwie. To wrażenie silnie zapadło mi w pamięć, a szczególnie admirałski kordzik kołyszący się u jego boku.

Po przejściu w stan spoczynku dziadek zakładał mundur tylko na uroczyste spotkania poświęcone Dniu Zwycięstwa, na których oczywiście nie bywałem.

Teraz był w pełnej gali i z kordzikiem przy boku, niezwykle poważny.

— Dzień dobry, Sierioża. Najlepsze życzenia. Od dzisiejszego dnia jesteś mężczyzną — uroczyście oznajmił, a potem ucałował mnie.

Z leżących na tapczanie słuchawek w dalszym ciągu popiskiwał „Pink Floyd”.

— Wyłącz to — skrzywił się dziadek — Chcę z tobą porozmawiać.

Zaniepokoiłem się, oczekując kolejnej wychowawczej rozmowy, podobnej do tych, którymi zaszczycał mnie rodzice przed urodzinami. „Stajesz się dorosłym, czas pomyśleć o przyszłości...” I dalej w tym samym duchu. Miałem już tego powyżej uszu.

Dziadek usiadł na tapczanie obok mnie i położył mi dłoń na ramieniu. Poczułem, że jego ręka drży.

Potem z wysiłkiem odpiął kordzik i położył go sobie na dłoni.

— Oto mój prezent dla ciebie. Zgodnie z regulaminem broń osobista pozostaje w rodzinie. Wkrótce już na mnie pora, i chcę, żeby należał do ciebie.

— Ale co ty, dziadku... — niepewnie zaprotestowałem.

— Wiem, co mówię.

Przyjąłem kordzik. Był chłodny i ciężki. Nacisnąłem guzik koło jelca i wysunąłem ostrze z pochwy. Było pokryte cieniutką warstwą żółtego smaru. Na rękojeści widniały trzy litery: „R. D. M.” — Rodion Dmitriewicz Martyncow.

— Ale to nie jest najważniejsze — powiedział dziadek wstając z tapczanu.

Obserwowałem go z zaciekawieniem. Dziadek był niewysoki i szczupły, w ostatnich latach jakoś wysechł, mundur na nim wisiał. Miał siwe, krótko ostrzyżone włosy, mnóstwo zmarszczek na twarzy, ale oczy jasne i żywe...

— Wstań, Sieriożka. Zaraz zgłupiejesz — rzekł i mrugnął do mnie.

Rzeczywiście zgłupiałem. Nie przypuszczałem, że dziadkowi przejdą przez usta nasze zwroty. Zazwyczaj był pompatyczny.

Posłusznie wstałem. Dziadek sięgał mi do ramienia. Badawczo, z jakąś iskierką sprytu popatrzył na mnie z dołu do góry, zupełnie jak stary pirat, odsłaniający przed jungą tajemnicę skarbu zakopanego na odległej wyspie czterdzieści lat temu.

W gruncie rzeczy, tak właśnie było. Niestety, jak okazało się w poprzednim życiu, nie było w tym nic śmiesznego.

— Ale ty urosłeś — stwierdził dziadek zarazem z podziwem i niezadowoleniem.

Zerknął na drzwi i z miną złodziejaska włożył suchą dłoń do wewnętrznej kieszeni admirałskiej mundurowej kurtki. Kiedy wyjął rękę, trzymał w niej niewielki, okrągły, matowo połyskujący przedmiot.

Trzasnęła pokrywka i zobaczyłem tarczę starego zegarka o cienkich, rzeźbionych wskazówkach i rozmieszczonej na obwodzie podziałce od 1 do 24, nie zaś do 12, jak zazwyczaj. Z lewej i prawej strony cyferblatu znajdowały się okienka kalendarza. Widniały tam dzień, miesiąc i rok — dzisiejsza data. Wskazówki zbliżały się do dwunastej, choć wydawało się, że do szóstej, gdyż cyfra 12 znajdowała się na tym miejscu, gdzie szóstka w zwyczajnym zegarku.

— Podoba ci się? — zapytał dziadek przypatrując się mojej twarzy.

Skinąłem głową, choć prawdę mówiąc, nie czułem szczególnego entuzjazmu. Zegarek jak zegarek. Kordezik o wiele silniej podziałał na moją wyobraźnię. Już sobie kombinowałem, jak po feriach przyniosę go do szkoły i pokażę chłopakom.

Nagle dziadek cofnął dłoń, na której leżał zegarek, ten jednak zawisł w powietrzu na tym samym miejscu. Zamurowało mnie.

— Widzisz? On nic nie waży — z zadowoleniem powiedział dziadek i leciutko popchnął zegarek wskazującym palcem. Zegarek łagodnie popłynął w powietrzu.

Takie cudeńka widziałem dotąd tylko w telewizji, kiedy pokazywano reportaż z pokładu stacji orbitalnej „Salut” i kosmonauci demonstrowali stan nieważkości. Na ziemi wyglądało to na cud.

— I to nie jest najważniejsze — oznajmił dziadek łapiąc zegarek i zatraskując kopertę.

W momencie zamknięcia przykrywki otaczająca przestrzeń drgnęła, jakby pod wpływem bezgłośnego wybuchu.

Pierwszą moją myślą było, że dziadek na starość zaczął się pasjonować sztuczkami, został iluzjonistą amatorem. Druga myśl była jeszcze lepsza — dziadek zwariował.

Jego opowiadanie zdawało się to potwierdzać.

Dziadek powiedział, że zegarek jest cudowny. Było czymś niesamowitym słyszeć to z ust starego człowieka w admirałskim mundurze. Według dziadka cudowność zegarka polegała na następujących właściwościach. Po pierwsze, zawsze chodził absolutnie dokładnie, bez nakręcania. Po drugie, jeżeli posługując się umieszczonymi z boku trzema maleńkimi śrubkami przestawiło się wskazówki i kalendarz, a potem zatrzasnęło kopertę, to natychmiast następował czas, który ustawiliśmy na zegarku.

- Gdzie? — spytałem głupio.
- Co — gdzie? — rozgniewał się dziadek.
- Gdzie następuje ten czas?
- W przestrzeni — zatoczył ręką łuk wskazując pokój.
- W jakiej?
- No, we wszechświecie.

A więc był to zegar o odwrotnym działaniu. To nie czas określał jaki rok, miesiąc, dzień i godzina były na cyferblacie, ale sam zegar sterował czasem określając, jaki ma być.

Dziadek otrzymał ów zegarek od swojego ojca, a mojego pradziadka. Pradziadek był zawodowym rewolucjonistą, politycznym zesłańcem, na katordze dorobił się gruźlicy i zmarł w tysiąc dziewięćset dwudziestym piątym. Zegarek podarował swojemu synowi, kiedy ten skończył szesnaście lat, dwa lata przed swoją śmiercią.

Dziadek opowiadał bez pośpiechu, bawiąc się zegarkiem — to puszczał go i ten płynął w powietrzu, to znów łapał go w dłoń jak muchę.

- Dlaczego on nic nie waży? — zapytałem, jakby to było najważniejsze.

Ogólnie rzecz biorąc, ów fakt, o ile nie był doskonałą iluzją, rzeczywiście potwierdzał niezwykłość zegarka. Wszystko pozostałe wymagało sprawdzenia. A jeżeli dziadek przeczytał o zegarku w jakimś opowiadaniu fantastycznonaukowym, a teraz mnie nabiera?

— Nie wiem — odparł dziadek. — Jestem marynarzem, nie fizykiem. Mówiono mi, że czas jest jakoś powiązany z siłą ciężkości. Podobno ten zegarek jest jednym z biegunów pola grawitacyjnego...

- A ile jest tych biegunów?

— Nie wiem — dziadek machnął ręką. — Kiedy zawodowy wojskowy otrzymuje nową broń, to mało go obchodzi, jakie są zasady jej konstrukcji. Ale powinien doskonale wiedzieć — jak, gdzie, kiedy i przeciwko komu należy jej użyć. Zrozumiałeś?

- Jaka to broń? — zaprotestowałem. — Tylko, taka zabawka...

— Niebezpieczna zabawka, chłopcze — niemal wyskandował dziadek, patrząc na mnie ze złością. — Sam się o tym przekonasz. Jeżeli, oczywiście, posłużysz się nim. Jeżeli odważysz się posłużyć.

- Pewnie, że się odważę — powiedziałem.

Dziadek znowu otworzył kopertę i popatrzył na wskazówki. Była za dwie minuty dwunasta.

- Zapamiętaj ten moment, chłopcze — powiedział cicho. — Południe dwudziestego

siódmego marca tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego czwartego roku. Masz!

Podał mi zegarek. Wziąłem go. To było dziwne uczucie — zegarek był zarazem lekki, bo nic nie ważył, ale masywny i w związku z tym poruszenie go z miejsca wymagało pewnego wysiłku. Jakby się opierał, zupełnie jak żywy.

— Nieposłuszny, prawda? — nieoczekiwanie uśmiechnął się dziadek.

— A więc, jeżeli przesunąć go rok wstecz, i zamknąć kopertę, to będzie... — zacząłem zastanawiać się na głos.

— To będzie rok temu — niecierpliwie przerwał dziadek.

— Znowu będę miał piętnaście lat... I okażę się tam, gdzie byłem dokładnie rok temu? Tak?

— Tak! Tak! I ty, i ja, i wszyscy. Rozumiesz, wszyscy! Cały świat, wszyscy ludzie, cały wszechświat znajdą się tam, gdzie byli rok temu. W takim samym położeniu i stanie.

— A ci, którzy umarli w ciągu tego roku? — nagle zapytałem.

— Zmartwychwstaną — powiedział surowo dziadek.

— Oho! — rzekłem, spoglądając z szacunkiem na zegarek. — A co dalej?

Wciąż to do mnie nie docierało do końca.

— A potem wszyscy będą żyli znowu przez ten rok, który już przeżyli! — zawołał. — Dlaczego taki z siebie głuptas?!

— I wszystko się powtórzy? To nieciekawe.

— A właśnie że nie! Nie można dwa razy wejść do tej samej rzeki! Nie można! Wiesz o tym? Tak powiadali starożytni! — krzyczał.

— Dlaczego krzyczysz? — obraziłem się.

— Dlatego, że w dwudziestym trzecim roku, kiedy ojciec podarował mi ten zegarek, nie wiedziałem nawet połowy tego, co ty wiesz dzisiaj. Ale ja byłem bardziej dorosły — powiedział z ubolewaniem. — A może daję ci ten zegarek za wcześnie?

— Bardzo proszę. Możesz nie dawać.

Nie miałem specjalnej ochoty...

— No nie. Weź, kochany — rzekł, odsuwając moją dłoń z zaciśniętym zegarkiem. — Weź. Zastanów się, jak go wykorzystać. I czy trzeba? Pomyśl.

Miał zwyczaj powtarzać te same słowa z taką samą intonacją.

— Idę — oznajmił. — Idę sobie. Nikt nie powinien o nim wiedzieć. To może ci zaszkodzić ... Potem, kiedy się już zastanowisz, porozmawiamy.

— Poczekaj, przecież jeszcze nic nie wiem! — poprosiłem.

— Powiedziałem ci wszystko. Wszystko najważniejsze. Przystawiasz wskazówki i

kalendarz, zatraskujesz kopertę, i ... Tak! Jeszcze jedno. Trzymaj go mocno o tutaj, jeżeli chcesz pamiętać, co się z tobą działo przed skokiem — dotknął piersi w okolicy mostka.

— Przed skokiem? — zapytałem.

— No, przejściem. Przejściem w czasie.

Dziadek skierował się w stronę drzwi.

— Posługiwałaś się nim kiedyś? — rzuciłem w ślad za nim pytanie.

Zatrzymał się i pomyślał chwilę.

— Raz. Jeden raz w życiu. Jeden raz w życiu cofnąłem się o miesiąc i przeżyłem go na nowo... To było dawno.

Zatrzaskał drzwi.

Co zrobilibyście na moim miejscu? Według mnie, ludzkość można podzielić na dwie grupy. Jedni natychmiast schwyciliby zegarek i spróbowali sprawdzić jego działanie. Drudzy najpierw by pomyśleli. Postanowiłem pomyśleć.

Jak chyba większość ludzi w moim wieku lubiłem fantastykę i zaczytywałem się Bradburym, Strugackimi, Lemem. Jednakże, czytając ich książki, nigdy tak naprawdę nie wierzyłem w realność tego, o czym czytałem. Co innego fantastyka, a co innego — rzeczywistość.

Jak na szesnastolatka dość trzeźwo patrzyłem na świat i wiedziałem, że lewitacja, kosmici i maszyna czasu istnieją jedynie w wyobraźni fantastów.

Aż nagle znalazłem się w fantastycznej sytuacji. Przy czym tylko od mojego wyboru zależało, czy wykorzystam ją, czy nie. Mogłem po prostu wetknąć zegarek gdzieś głęboko, zapomnieć o nim i żyć sobie tak jak poprzednio.

Choć prawdę mówiąc, byłoby to jeszcze bardziej fantastyczne. Mieć w rękach taką zabawkę i nie skorzystać z niej!

Ostrożnie zatrzaskałem kopertę, znowu poczułem lekki wstrząs przestrzeni i pociągnąłem zegarek w stronę biurka.

Opierał się jak ryba na haczyku. Wszystko wskazywało na to, że jego masa spoczynkowa była dość duża.

Włożyłem zegarek do szuflady biurka, zamknąłem ją i usiadłem na biurku, zupełnie jakbym obawiał się, że wraz z zegarkiem wzbije się w powietrze. Ale zegarek zachowywał się spokojnie.

A potem zacząłem się zastanawiać.

Mój dziadek jest człowiekiem ze skłonnościami do ekstrawagancji, ale poprzednio nie dostrzegałem u niego skłonności do mistyfikacji. Wręcz przeciwnie, zawsze we wszystkich był prostolinijny i dokładny. A poza tym, po co miałby kłamać o zegarku?

Wciąż mnie korciło, żeby go wypróbować, ale bałem się. Trzeba było rozważyć wszelkie konsekwencje. Ale jak?

Załóżmy, że to nie „nabieranie gości”. Jeżeli wszystko okaże się lipą, to nie ma o czym mówić. Załóżmy, że to prawda. A więc, jeżeli teraz przestawię zegarek choćby na wczorajszą datę, to dzień wczorajszy nastąpi?

Gdzie byłem wczoraj w południe?

Wczoraj w południe stałem w kolejce po płytę Cellentano (?) we wzorcowym sklepie „Melodia” na Bolszom Prospekcie na Petrogradzkiej Stronie. To pewne. Pojechałem tam przed otwarciem i stałem w kolejce ponad dwie godziny. Był ze mną Tolik.

A więc, jeżeli teraz zatrzasnę kopertę, to w mgnieniu oka przeniosę się na Bolszoi Prospekt. I będę nie w domowych kapciach i znoszonym dresie, ale w dzinsach, adidasach i cieplej, fińskiej kurtce. I Tolik też się tam znajdzie, bez względu na to, gdzie jest obecnie.

Pomyśl, by oderwać Tolika od jego zajęć wydał mi się kuszący, tym bardziej, że domyślałem się gdzie i z kim spędza teraz czas.

Co tam Tolik! Cały świat, wszyscy ludzie, wszechświat, jak powiedział dziadek, również przeskoczą we wczorajszy dzień. Ci, którzy urodzili się w ciągu tej doby — a takich na Ziemi jest wielu — znikną? Ci zaś, którzy umarli — ożyją? Czy to nie przesada, jak powiada moja mama?

Bzdura.

I wszystko przez jakiś tam zapleśniały zegarek, który tyka w szufladzie mojego biurka? Nie, taki głupi to ja już nie jestem.

Zaraz wezmę go i sprawdzę, postanowiłem.

Wciąż jednak siedziałem na biurku i nawet chwyciłem blat rękoma. Miałem jakieś złe przeczucie, zupełnie jakby czarny kot przebiegł mi drogę. Duchowe wątpliwości, tak bym to określił.

Czy mam na to prawo? A może, ktoś jest teraz szczęśliwy? O, na przykład Tolik. To ja nie mam nic do roboty, ale dla niego ten dzień jest ważny. A w ogóle, czemu tak się przyczepiłem do Tolika? Inni mają jeszcze ważniejsze sprawy. Plan produkcyjny, kończy się kwartał, a ja za jednym zamachem zniszczę dobową produkcję całego kraju? Za to nie pogłaszczą mnie po główce. I w ogóle to nieuczciwe.

Mogę i nie o dobę, Mogę o miesiąc, o rok! Ile zechcę. O sto lat wstecz. Ciekawe, czy ta

maszynka ma ograniczenie lat? Czy przypadkiem nie jest wieczna?

Stop! — powiedziałem sobie. Dalej niż szesnaście lat wstecz nie mogę skakać. Po prostu mnie nie będzie. Jeszcze się nie urodzę.

Innymi słowy, tam nie mogę.

W ten sposób ustaliłem jedną granicę. Mogłem spacerować po czasie począwszy od marca tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego ósmego roku, kiedy się urodziłem.

Przykre ograniczenie. Do rycerzykrzyżowców już się nie dostanę. Oczywiście, mogę nacisnąć wieczko, niech historia zaczyna się od początku, ale tego nie obejrzę.

W sześćdziesiąty ósmy również nie miałem ochoty. Trafię z tym przeklętym zegarkiem znowu do żłobka. Mama na pewno go odbierze... Jeszcze zacznie przy nim majstrować i wyśle ludzkość gdzieś, gdzie diabeł mówi dobranoc. Gdzieś do egipskich faraonów...

Stop! — znowu powiedziałem sobie. Dlaczego uznałem, że zegarek pozostanie przy mnie? Otrzymałem go od dziadka dzisiaj. W żłobku nie miałem żadnego zegarka. Zjawił się dopiero przed chwilą. A więc, jeżeli chcę skoczyć w przeszłość i zatrzymać zegarek przy sobie, to nie powinienem przekraczać granicy południa dnia dzisiejszego.

To dlatego dziadek chciał, żebym zapamiętał tę minutę!

Oczywiście, można przeżyć całe dzieciństwo od początku i doczekać, kiedy dziadek znowu mi go podaruje. Ale ileż to czekania!

No, a jak będzie z pamięcią? Czy będę pamiętał co będzie ze mną przed skokiem? Dziadek powiedział, że będę, jeżeli przytrzymam zegarek o tu, przy szyi. A cała pozostała ludzkość?

Pytań miałem do licha i trochę.

Raz kozie śmierć! Zrozumiałem, że wszystkiego nie uda mi się wyliczyć i wysunąłem szufladę z biurka. Zegarek pływał w niej jak rybka w akwarium. Złapałem go i otworzyłem wieczko. Żeby jakoś zabezpieczyć się przed możliwymi niespodziankami postanowiłem cofnąć się nieco w czasie i to do momentu, o którym dobrze pamiętałem — gdzie, z kim i w jaki sposób się znajdowałem. Nie musiałem długo szukać takiej chwili. Przypomniałem sobie, że dziesięć dni temu, przed trzema ostatnimi lekcjami staliśmy w korytarzu i zgadywaliśmy, jakie tematy Anna Iliczna przyniesie na czwarte wypracowanie z literatury.

Ustawiłem datę i godzinę — za pięć dwunasta — przyłożyłem zegarek do piersi i bez namysłu obydwoma dłońmi przycisnąłem wieczko.

Było to niezapomniane uczucie.

Wszystko trwało ułamek sekundy, jednakże zdołałem uchwycić początkową fazę skoku,

dopóki nie uniosło mnie przestrzenią minionego czasu.

Jednocześnie z trzaśnięciem koperty nastąpił znany już lekki wstrząs i natychmiast wokół zegara zaczęła szybko rozrastać się powierzchnia o kształcie soczewki. Wyglądało to tak, jakby od zegara oddzieliła się jego powłoka. Wewnątrz tej powierzchni zdążyłem zauważyć zielone sukno biurka, na którym leżał zegarek, obok — fragment kałamarza z brązu, jakby wciskającego się znikąd do środka powierzchni i cygarniczkę dziadka. Moje palce i fragment szyi były już zamazane rozrastającą się soczewką, po chwili zniknęły podbródek, nos, podczas gdy wewnątrz powierzchni w dalszym ciągu widniał fragment biurka w gabinecie dziadka — sterczał z mojego ciała, zżerał je z rozrastającą się soczewkowatą powierzchnią w niesamowitym tempie. Jeszcze chwila i powierzchnia sięgnęła moich oczu. Przystałem widzieć, nastąpiło kilka setnych ułamków sekundy kompletnej ciemności i nagle znalazłem się w szkolnym korytarzu wśród swoich kolegów, pojawiwszy się jak i oni na granicy podziału dwóch przestrzeni, rozszerzającej się z gigantyczną prędkością.

— ...iczna da Nataszę Rostową. Zobaczycie — powiedział Tolik.

— I księcia Andrzeja — autorytatywnie dodał Maks.

— A ja szykowałam się do Pierre'a. Żeby choć Pierre był! — zaczęła denerwować się Marina.

„Dokładnie tak — odnotowałem w myśli. — Rzeczywiście tak mówili”. Przymknąłem powieki, zacisnąłem palce jakby skupiając energię myślową i oznajmiłem powoli, robiąc pauzy między wyrazami:

— A więc tak. Tematy będą następujące: „Postacie Kutuzowa i Napoleona jako odbicie poglądów Tołstoja na historię”, „Filozofia Platona Karatajewa i jej związki z tołstojowcami” i „Żołnierz rosyjski w twórczości Tołstoja”.

Zgodnie mnie wysmiano. Nikt mi nie przypomniał, że poprzednio ja również głosowałem za księciem Andrzejem.

Pięć minut później do klasy weszła Anna Iliczna i napisała na tablicy wymienione przeze mnie tematy. Słowo w słowo. Wszyscy oniemieli i jednocześnie popatrzyli na mnie.

— Skąd wiedziałeś? — wyszeptał Maks.

— Intuicja — wzruszyłem ramionami.

— Aleś ty logopeda! — użył swego ukochanego zwrotu.

Anna Iliczna wyjaśniła nam później, że postanowiła sprawdzić samodzielność naszego myślenia i dlatego podrzuciła nam takie koszmarnie tematy. Oczywiście, nikt nie był przygotowany oprócz mnie, bowiem doskonale pamiętałem analizę wypracowań, którą

urządziła nam dwa dni później.

„Przy okazji poprawię sobie czwarty stopień!” Pomyślałem zaczynając pisać o Kutuzowie i Napoleonie.

Poprzednim razem pisałem o rosyjskim żołnierzu i dostałem trójcę za treść i czwórkę za gramatykę.

Dwa dni później dowiedziałem się, że dostałem celujący za treść i tę samą czwórkę za gramatykę. Na kwartał wyszła piątka.

Pozostali mieli te same stopnie co poprzednio.

W ciągu dziesięciu dni poprzedzających mój powtórny jubileusz szesnastolecia zdobyłem reputację wieszczbiarza. Sytuacje powtarzały się jedna po drugiej i nie miałem żadnej trudności w ich przepowiadaniu.

— Uważajcie — mówiłem w kinie jak zawsze przyzymkając oczy i zacisnąwszy pięści — zaraz wejdzie rudy, szczerbaty facet o kuli.

Minutę później do foyer wchodził rudy, szczerbaty facet o kuli.

— Chemiczka wyrwie jutro do odpowiedzi ciebie, ciebie i ciebie — wskazywałem palcem. — Przygotujcie się.

Następnego dnia pytano ich, dostawali po piątce i dziękowali, zdumieni.

W taki oto sposób udało mi się poprawić oceny na kwartał nie tylko sobie, ale i kilku moim kolegom.

Łaził za mną ogon. Bez przerwy skomleli.

— Martyn, a co dostanę na kwartał z biologii?

— Sierioża, czy „Zenit” jutro wygra?

— Przegra jeden do zera — odpowiadałem.

Ostatniego dnia kwartału moi koledzy z klasy zaciągnęli mnie do naszej wychowawczyni Kseni Iwanowny. Mieliśmy do niej zaufanie.

— Kseniu Iwanowna, nasz Martyncow to prorok! — oznajmił Maks.

— Kto? — przestraszyła się.

— Wieszczbiarz. Przepowiada przyszłość!

— Jak to robi?

— Dzięki intuicji — odrzekł Tolik.

— Ach tak? No to, Sierioża, przepowiedz mi, proszę, kiedy zadzwoni do mnie moja Katia. Pojechała z zespołem do Tallina i obiecała zatelefonować. Powinnam wtedy być w domu.

I wpadłem. Rzecz w tym, że rozmowy tej poprzednim razem oczywiście nie było, nie miałem zielonego pojęcia o Katii i jej występach w Tallinie, w związku z tym nie domyślałem się też, kiedy przyjdzie jej do głowy, by zadzwonić do swojej mamy.

— O siódmej wieczorem — mruknąłem na oślep.

I, oczywiście, pomyliłem się. Katia dzwoniła o piątej, kiedy Kseni Iwanowny nie było w domu, a potem o jedenastej. Dowiedział się o tym Maks, który specjalnie zatelefonował do wychowawczynie następnego dnia, żeby poznać wynik eksperymentu.

Moja opinia została nieco nadszarpnięta. Zaczęły się wakacje. Widywałem się przede wszystkim z przyjaciółmi — Maksem i Tolikiem. Życie moje ogólnie rzecz biorąc toczyło się tym samym torem co poprzednim razem, ale z pewnymi zmianami. Czasami specjalnie je urządzałem. Pamiętając, że w sobotę poszedłem na dyskotekę do Domu Kultury Pracowników Łączności, tym razem nie poszedłem. Nic się nie zmieniło.

W napięciu oczekiwałem na urodziny. Znowu chciałem stać się posiadaczem zegarka. Trzy dni wcześniej zadzwoniłem do dziadka i zapytałem o zdrowie.

— Jestem wzruszony — odpowiedział ironicznie. — Skąd nagle takie zainteresowanie?

W przeddzień urodzin nieco poprawiłem swoją opinię proroka dokładnie przepowiedziawszy płytę Cellentano, którą potem ja i Tolik kupiliśmy w sklepie „Melodia”.

Rankiem dwudziestego siódmego marca wysłuchałem życzeń mamy i Swietki oraz otrzymałem od nich w prezencie tę samą fabrycznie zapieczętowaną japońską kasetę, po czym zacząłem czekać na dziadka. Tym razem ubrałem się staranniej i posprzątałem w pokoju.

O pół do dwunastej dziadek nie przyszedł. Nie pojawił się i o dwunastej. Nie było go o pierwszej, trzeciej i o piątej. Zadręczałem się. Miałem ochotę zatelefonować do niego i mu przypomnieć. Bardzo fajnie by wyszło. Posłuchaj dziadku, zapomniałeś mi podarować zegareczek. Gdzie on jest?

Dziadek zadzwonił o szóstej..

— Wszystkiego najlepszego, chłopcze — powiedział słabym głosem. — Nie mógłbyś do mnie wpaść? Przygotowałem prezent dla ciebie.

Pognałem do niego na złamanie karku.

Lubię bywać u dziadka. Ma wiele starych rzeczy, dawne, ciężkie meble, maleńki obraz Ajwazowskiego. Wszystko to od lat było własnością rodziny, nie zaś kupione w komisie, jak u Tolika. Jego ojciec, dyrektor hurtowni warzywnej, dwa lata temu wywiózł na daczę wszystkie nowe meble i zaczął kupować stare. Tolik opowiadał, że teraz poluje na stary

głośnik — taki czarny, papierowy talerz. Jest gotów zapłacić za niego sto rubli.

Dziadek ma taki głośnik. Słuchał z niego przemówienia Mołotowa w pierwszy dzień wojny.

Ale szczególnie podobała mi się pianola. To taki instrument z początku wieku, z wyglądu przypominający małe pianino. Ma klawiaturę i kilka pedałów. Na pianoli może grać każdy, a właściwie ona gra sama, a grający tylko udaje, że naciska palcami klawisze. Do pianoli wkłada się specjalne nuty — karty z dziurkami, pedały zaś regulują głośność i szybkość odtwarzania. Dziadek ma cały stos nut — Bach, Beethoven, Szopen. Lubię grać „Dla Elizy” Beethovena. Szkoda, że nie ma nic współczesnego — nieźle byłoby zagrać partię Johna Lorda z „Deep Purple”, ale i Beethoven ujdzie.

Chciałbym zostać muzykiem w sławnej kapeli. Ale nie umiem grać, tylko trochę brzdąkam na gitarze. Pianola jest dla mnie najodpowiedniejszym instrumentem.

Dziadek źle wyglądał. Był w domowym, wytartym garniturze ze sztruksu — coś w rodzaju pizamy. W ogóle wszystko to nie miało tak uroczystego charakteru jak poprzednim razem.

Znowu opowiedział mi wszystko o zegarku. Zegarek leżał na biurku obok kałamarza, przyciśnięty spinaczem, żeby nie poleciał. Bezpośrednio nad nim wisiał na ścianie złoty admiralski kordzik.

— Och, jak mnie dziś bolą nogi! — poskarżył się dziadek.

Nagle pomyślałem, że nic nie stoi na przeszkodzie, by posłużył się zegarkiem i powrócił w te czasy, kiedy nie bolały go nogi, kiedy stał na mostku krążownika w admiralskim mundurze i ze złotym kordzikiem u boku. Dlaczego tego nie robi? Dlaczego ofiarowuje mi zegarek?

— Wszystko zrozumiałeś? — zapytał. — Nie zapominaj przykladać go tutaj — wskazał na mostek.

— Wiem — skinąłem głową.

— Skąd?

— Już mi go ofiarowywałeś — przyznałem się.

Dziadek patrzył na mnie przez jakąś minutę. Potem ze smutkiem pokiwał głową.

— A więc próbowałeś? W takim razie nie mam o czym mówić. Ćwicz dalej. Tylko nie zmuszaj mnie bym ci go ofiarowywał w nieskończoność. Miej litość nad starym człowiekiem. Nie uda ci się od tego wykręcić. Postanowiłem, że ci go podaruję jeszcze zanim się urodziłeś.

Odniosłem wrażenie, że jest zawiedziony.

— Idź, Sierioża — powiedział.

Popatrzyłem z żalem na kordzik. Dziadek najwyraźniej nie miał dziś zamiaru mi go ofiarować.

No i spróbowałem, myślałem wracając. Zostałem bez kordzika. Ale za to mam zegareczek!

Jeszcze wtedy nie wiedziałem, że za wszystkie moje skoki trzeba płacić.

Z pierwszego doświadczenia wyciągnąłem kilka ważnych wniosków.

Wniosek pierwszy — wszyscy ludzie przeniesieni mocą zegarka w przeszłość, przeżywają wszystko powtórnie nie pamiętając o tym, że to już było. Wszyscy, poza mną. Nawet dziadek, wieloletni właściciel zegarka nie zauważył, że zmusiłem go do dwukrotnego przeżycia minionych dziesięciu dni.

Wniosek drugi — przeszłość nie powtarza się dokładnie, z fatalną nieodwracalnością. Innymi słowy czas nie jest absolutnie zdeterminowany, jeżeli użyć ścisłych terminów. To zresztą zrozumiałe — moja pamięć wprowadza do niego zakłócenia. Przeżywając powtórnie przeszłość, mogę ją korygować, to znaczy wpływać na bieg czasu. A więc, można naprawiać błędy.

Ta myśl mi się spodobała. Można się nie obawiać, żyć jakby „w brudnopisie”, a potem, kiedy pozna się już wynik, przepisać życie na czysto.

Co prawda, zmianie może ulec nie tylko to, co zależy ode mnie. Dziadek nic nie wiedział o moim skoku, a jednak nie podarował mi kordzika, nie przyszedł do mnie, lecz zaprosił, to znaczy zrobił niezupełnie to, co pierwszym razem. A więc, na ogólny, prawidłowy bieg czasu nakładają się przypadkowe fluktuacje.

Poczułem, że jestem badaczem Czasu. Podobało mi się, że używam w stosunku do niego pojęć zaczerpniętych z lekcji fizyki.

Wniosek trzeci — natura czasu jest zupełnie inna, niż wyobrażałem to sobie wcześniej. Należy się w tym zorientować. Niejasno uświadomiłem sobie, że będę musiał zmienić moje poglądy na temat przyczynowości.

Chwilowo jednak fascynowały mnie konkretne zagadnienia — co robić dalej z zegarkiem? Czuję się jak tabaka w rogu. Tak lubi mówić moja mama.

Dokładnie tak.

Dopiero teraz, kiedy przewędrowałem Czas wzdłuż i wszerz, myślę kategoriami filozoficznymi i fizycznymi. Wtedy miałem w głowie zupełną mgłę i niepohamowaną ochotę uzyskać dzięki zegarkowi konkretne korzyści.

Postanowiłem, w pierwszym rzędzie, zgromadzić niewielki kapitał czasu, do którego mógłbym powracać nie ryzykując utraty zegarka, to znaczy, nie zmuszając dziadka do ponownego ofiarowania mi go.

Po kilku dniach, które przeżyłem jak na szpilkach, zacząłem maleńkie ćwiczenia z zegarkiem skacząc wyłącznie do tyłu. Starłem się przedłużyć sobie przyjemność.

Kiedy na przykład mama przynosiła do domu coś smacznego — orzeszki, tort albo kupione przypadkowo banany, zjadałem swoją porcję i natychmiast skakałem jakieś piętnaście minut wstecz, żeby zjeść przysmak ponownie.

Puszkę soku mango wypilem pięć razy pod rząd i choć apetyt pozostał mi jak przedtem, zacząłem czuć obrzydzenie do soku mango. Również nie sprawiały mi oczekiwanej przyjemności powtórne przesłuchanie dobrych nagrań u znajomych i oglądanie kryminałów w telewizji. Prędko następował przesyt.

Przypominało to strzelanie z armaty do wróbli. Szybko zrozumiałem, że stawianie sobie małych celów prowadziło do uzyskiwania małych rezultatów. Należało koniecznie opracować plan dalszego życia, oparty na fakcie posiadania zegarka.

Wciąż jednak to odkładałem. Chwilowo popisywałem się sztuczkami. Szczególnie lubiłem płatać figle Swietce. Jej mąż Pietieczka, z którym dawniej uczyła się razem w szkole, odbywał służbę wojskową i od czasu do czasu telefonował do niej z Wilna. Kiedy słyszałem kolejny telefon Pietieczki zapamiętywałem czas, potem skakałem wstecz o jakieś pięć minut, szedłem do siostry i pytałem:

— Chcesz, zaraz zadzwoni Pietieczka?

— Oj, oczywiście!

— Bardzo proszę! — szerokim gestem wskazywałem telefon, który natychmiast zaczął dzwonić.

Po dwóch takich improwizacjach Swietka zaczęła mnie męczyć, żebym znowu załatwił jej telefon. To było ponad moje siły.

— Nie mam nastroju — mówiłem. — Sama rozumiesz, to jest związane z olbrzymim wydatkiem energii psychicznej...

— Sieriożeńka, no, proszę!

— Spróbuję. W tych dniach... — obiecywałem jej.

Wreszcie sam Pietieczka zadzwonił. Po rozmowie Swietka przyszła naburmuszona:

— Widzisz, sam zadzwonił. Bez twojej pomocy.

Zobaczmy, co powiesz za pięć minut! — myślałem, dotykając zegarka w kieszeni.

Po pięciu minutach, po wykonaniu skoku w czasie i odegraniu mojego przedstawienia z przepowiadaniem telefonu, byłem nagradzany pełnym zachwytem pocałunkiem siostry.

Wkrótce zacząłem zauważać, że przepowiednie sprawiają mi coraz mniej przyjemności. Na odwrót, coraz wyraźniej zacząłem odczuwać pewną niezręczność, powiedziałbym nawet — wstyd. Obserwując, jak naiwnie zdumiewają się, albo cieszą moi przyjaciele lub bliscy, gdy powtarzałem jakiś fragment ich życia, jak to przeżywają, czułem się jak ostatni podlec. Przecież z góry znałem rezultat. Zupełnie jakbym oglądał telewizyjną transmisję meczu i znał już wynik, podczas gdy obok szczerze denerwuje się kolega, który tego wyniku nie zna.

Postanowiłem przepowiadać tylko w wyjątkowo ważnych sytuacjach, kiedy będę mógł naprawdę pomóc ludziom.

Taki przypadek wkrótce się przydarzył.

Maks w niedzielę rano pojechał z ojcem łowić ryby spod lodu. Była połowa kwietnia. Przez radio ostrzegano, że wychodzenie na lód jest niebezpieczne.

W poniedziałek, po przyjściu do szkoły Maks opowiedział, że na jego oczach oderwało kawałek pola lodowego, na którym znajdowało się pięciu wędkarzy. Był wśród nich przyjaciel ojca. Krę zdryfowało na zalew. Wędkarzy szukały śmigłowce, ale nie znalazły. Najprawdopodobniej wszyscy utonęli.

Po lekcjach wróciłem do domu i przesunąłem zegarek dwa dni wstecz, żeby móc oznajmić Maksowi o możliwym nieszczęściu.

— Tam, gdzie się wybieracie, nie można jechać. Może oderwać krę — powiedziałem.

— Wiesz to na pewno? — z niepokojem zapytał Maks.

— Tak.

Moja reputacja wieszczbiarza była tak silna, że nie ośmielił się dyskutować.

— A dokąd jedziemy? — spytał.

— Jak to dokąd? Na ryby.

— Ale dokąd? Jeszcze nie wiemy, ani ojciec ani ja. — Mają po nas przyjechać.

Masz ci los! — pomyślałem. Przecież zapomniałem go zapytać dokąd pojechali.

— Nigdzie nie można. Siedźcie w domu — odparłem. — I innym powiedzcie.

— Przecież o tym mówią i przez radio. A mimo to wszyscy jadą — z powątpiewaniem rzekł Maks.

— Przecież mówię ci, pięciu utonie! — zezłościłem się.

— I my obaj z ojcem? — zaciekawił się.

— Wy nie — niechętnie przyznałem.

— No to co, u licha? Jedziemy!

— Słuchaj! Siedź w domu, jak ci mówię. I szczególnie poradź przyjacielowi ojca, żeby nie wyjeżdżał! Możesz go już uważać za topielca! — darłem się, nie mając pojęcia jak go przekonać.

Maks przestraszył się, obiecał porozmawiać z ojcem, choć miał wątpliwości, że ten uwierzy w moje przepowiednie.

Wyszliśmy ze szkoły.

— Posłuchaj, a może nic się nie stanie? — z nadzieją w głosie spytał Maks.

— Pięciu topielców. Powiedziałem — wychrypiałem jak Żegłow w filmie „Gdzie jest czarny kot?”.

Nagle zobaczyłem na ulicy gromadę ludzi. Stał radiowóz milicyjny, obok ciężarówka. Wyjąc przeraźliwie, do miejsca wypadku pędziła karetka pogotowia. Pospieszaliśmy tam razem z Maksem.

Kiedy podbiegliśmy, do otwartej karetki wsuwano nosze. Leżała na nich mała dziewczynka. Przed chwilą potrąciła ją ciężarówka.

— Widzisz! A ty nie wierzysz — powiedziałem do Maksa.

— Ale przecież to... — zaprotestował, oszołomiony.

Wróciłem do domu zły. Czynisz ludziom dobrze, a oni nie chcą wierzyć! Ale w duszy tkwiło coś jeszcze. Jakiś złowieszczy domysł.

I nagle mnie olśniło. Dziewczynka! Minionej soboty, przed skokiem, nie widzieliśmy z Maksem żadnego wypadku drogowego. Co prawda, o wyjeździe na ryby też nie rozmawialiśmy. Wtedy po prostu spakowaliśmy teczki i poszliśmy do domu. A może dziewczynkę potrąciła ciężarówka potem? Chyba nie... Gdyby koło szkoły stało się coś takiego, na pewno w poniedziałek by nam o tym zakomunikowano, by w ten sposób jeszcze raz przypomnieć o konieczności przestrzegania zasad ruchu.

Okazywało się więc, że to ja spowodowałem wypadek swoim powrotem w przeszłość. Czy uratowałem wędkarzy, czy nie, jeszcze nie wiadomo, ale dziewczynkę już wieziono w karetce. Oto właśnie nieprzewidziana fluktuacja czasu...

Schwyciłem zegarek i znowu popędziłem z powrotem, do szkoły. W czasie, oczywiście.

Tym razem nie bawiłem się w ostrzeganie Maksa, tylko natychmiast powlokłem go ze sobą na ulicę.

— Dokąd cię niesie? — dziwił się, nie mogąc za mną nadążyć.

— Trzeba zapobiec nieszczęściu!

Przybyliśmy na to miejsce, sterczeliśmy tam bitą godzinę, i aby zapobiec nieszczęściu

rzucaliśmy się na wszystkie choć trochę podobne dziewczynki. Przy okazji o mały włos nie trafiliśmy na milicję. Wypadku nie było, ale. nie jestem pewien, że to dzięki nam. Nie wiadomo, czy przechodziła obok nas ta dziewczynka. Nie wiadomo, czy przejeżdżała ta ciężarówka, bo jej numeru rejestracyjnego nie zapamiętałem. Może w tym odgałęzieniu czasu dziewczynka poszła inną ulicą? Skąd mogę wiedzieć! Tak, to nie powtórka gola w telewizji, pomyślałem. Tu wszystko jest bardziej skomplikowane.

Maks był wściekły.

— Może wreszcie mi powiesz, po co się tu miotamy? Dlaczego rzucasz się na te trzecioklasistki?!

— Uratowaliśmy człowieka — oznajmiłem wycierając pot. — A teraz uratujemy jeszcze pięcioro.

— Ależ z ciebie logopeda... — powiedział przeciągle.

I znowu zacząłem opowiadać mu o krze, przekonywać. Tym razem Maks na dobrą sprawę mi uwierzył, ale mimo to obiecał powiedzieć ojcu o niebezpieczeństwie łapania ryb spod lodu w kwietniu.

Miałem na dwa dni popsuty humor.

W powtórny poniedziałek rozpromieniony Maks opowiedział, że mimo wszystko pojechali nad Zatokę Fińską, nikogo nie oderwało, nikt też nie miał zamiaru tonąć.

— No i masz swoje przepowiednie — dociął mi.

Wypadek ten zmusił mnie do poważnego przemyślenia swoich możliwości. Czy przypadkiem ich nie przeceniam? Kusząca perspektywa zostania dobroczyńcą ludzkości, usuwania tragicznych przypadków, w rzeczywistości stawała się męcząca bieganiną po czasie, takim jakimś migotaniem, a przy tym, kiedy doprowadziłem ten wariant do logicznego końca, okazało się, że w ogóle nie mogę posuwać się dalej, że będę wiecznie tkwić, a właściwie dygotać koło jakiegoś punktu w czasie, tak jak chociażby w minioną sobotę.

W istocie, na Ziemi codziennie ma miejsce mnóstwo tragicznych wypadków i kataklizmów, których smutnych konsekwencji można by uniknąć, gdyby wiedziało się o nich wcześniej. W tę właśnie sobotę, to znaczy już w powtórny sobotę, siedząc przed telewizorem i rozmyślając o swojej historycznej misji, dowiedziałem się o trzęsieniu ziemi w Peru. Zginęło kilkaset osób.

Zgodnie z założeniem powinienem znowu skoczyć wstecz i wysłać telegram do Peru, albo do ONZ, albo nie wiadomo gdzie jeszcze, uprzedzając o niebezpieczeństwie. Nawet gdyby przypuścić, że natychmiast i bezapelacyjnie mi uwierzą, co również było dość

wątpliwe, nie mogłem zagwarantować całkowitej skuteczności swego przedsięwzięcia. W tym powtórnym wycinku czasu, kiedy w Peru mogli spać spokojnie oddalwszy się od epicentrum, na ziemi mogły zdarzyć się inne tragiczne wypadki, które poprzednio nie zaistniały.

Była to dokładna analogia sytuacji z dziewczynką, która wpadła pod ciężarówkę.

Okazywało się, że jedną ręką ratowałem, drugą zaś zabijałem. Przy tym ratowałem tych, którzy zginęli przypadkowo, z woli niebios, jak powiadano, ci zaś, którzy ginęli przy powtarzaniu wydarzeń, obciążali wyłącznie moje sumienie. Przecież przebyli już bezpiecznie dany wycinek czasu i tylko dzięki temu, że zmusiłem ich, by przeżyli go powtórnie, znaleźli się w strasznych opałach.

Jestem kibicem piłki nożnej, choć nie fanatykiem. Tak więc rozpatrywaną sytuację można porównać do powtórnego rzutu karnego, kiedy bramkarz obronił, ale sędzia zarządził powtórny rzut. Oczywiście, przy powtórcie piłka wpada do bramki. Zawsze mi żal bramkarza, współczuję mu.

Czyż mogłem z własnej woli sprawić, by tysiące ludzi na ziemi upodobniły się do tego bramkarza, który raz już obronił strzał, ale przy powtórcie puścił gola?

Przypomniałem sobie dwie złote myśli doskonale pasujące do moich rozważań. „Dobrymi chęciami jest piekło wybrukowane” i druga, bardziej prosta — „Ratowanie tonących jest sprawą samych tonących”.

Zgadzam się, to cynizm. Przecież chodzi tu o ludzkie życie. Ale to uczciwy cynizm.

Postanowiłem nie bawić się w lekarzareanimatora pogotowia, tym bardziej, że moja karetka pędziła do chorego tak nieostroźnie, że po drodze kaleczyła zdrowych.

Poza tym, działając samotnie nie zdołałm wszędzie zdążyć. Moje altruistyczne działania w istocie wyglądały tak: uprzedziłem kogoś, ocalałem, dowiedziałem się o nowym nieszczęściu, skoczyłem wstecz, uprzedziłem, dowiedziałem się, skoczyłem, uprzedziłem, dowiedziałem się... I tak w nieskończoność.

„Raz i drugi tak skoczyli, że chałupę rozwalili” — jak głosi pewna miła piosenka.

Ze strachem myślałem tylko o jednym — a co będzie, jeżeli nieszczęście przydarzy się komuś bliskiemu?

Jednak łatwiej jest decydować, niż realizować swoje decyzje.

W ciągu pierwszych tygodni posiadania zegarka, które dość poważnie mi się przeciągnęły z powodu ciągłych powrotów, zdobyłem niezaprzeczalny autorytet człowieka przepowiadającego przyszłość.

Dziwne, prawda? Znałem tylko przeszłość, okazywało się jednak, że odgadywałem przyszłość.

Bez przerwy zwracano się do mnie z prośbami o przepowiednie. Najpierw koledzy z klasy, potem ich rodzice, potem przyjaciele rodziców... Popularność rosła jak lawina. Stałem się domowym prorokiem. Przekonawszy się, że moje przepowiednie są prawdziwe, runął na mnie tłum ludzi niepokojących się o swój dzień jutrzejszy.

Ludzi niezwykle interesuje przyszłość. Nawet takie głupstwo jak prognoza pogody na jutro sprawia, że niektórzy strasznie się przejmują. Choć prognozy meteorologiczne oparte są na ściśle naukowych podstawach, to jednak sprawiają wrażenie maleńkiego cudu — wczoraj powiedziano, że będzie padać deszcz i rzeczywiście, pada.

Zostałem synoptykiem czasu, jeżeli można to tak określić.

Moja metoda była nudna i prosta — osoba, która chciała usłyszeć prognozę, początkowo otrzymywała moją wymijającą obietnicę pomocy. Potem czekałem razem z nią na to co będzie, wracałem do punktu wyjścia i oznajmiałem rezultat. Spadnie mu cegła na głowę, czy nie, jakie miejsce zdobędzie w meczu pingpongowym i czy kocha go Masza.

Podejmowałem się tylko prognoz krótkoterminowych, bo przy długoterminowych strasznie męczące jest oczekiwanie. Dzień, dwa — nie więcej.

Bardzo prędko zaczęła mnie drażnić małostkowość pytań o przyszłość. Pamiętam, zadzwoniła pewna dama, daleka krewna znajomych ojca Tolika. Strasznie interesowało ją pytanie czy może nałożyć dziś wieczorem do teatru nową, francuską sukienkę?

— Niech pani nakłada, co za problem? — powiedziałem.

— Sieriożeńka, jest pan jeszcze młody, nie rozumie mnie pan... Sukienka ma bardzo oryginalny krój, ale nie była szyta na zamówienie, tylko kupiona w sklepie. Jeżeli w teatrze będzie choć jeszcze jedna kobieta w takiej samej sukience, będzie to dla mnie strasznym ciosem!

— Może pani śmiało się w nią ubrać — poradziłem.

O północy znowu do mnie zadzwoniła ze łzami i groźbami. Okazało się, że spotkała w teatrze swoją sukienkę. Premierę diabli wzięli.

Natychmiast więc cofnąłem czas do chwili naszej pierwszej rozmowy, doczekałem się jej telefonu i wyrąbałem:

— W żadnym wypadku nie może pani nakładać tej sukni. Będzie tam inna kłępa w identycznej.

Następnego dnia przesłała mi przez Tolika pudełko czekoladek.

Założyłem specjalny notatnik, w którym notowałem dokładny moment zamówienia, żeby przy powrocie nie tracić ani chwili. Teraz cofałem się dokładnie do początku rozmowy ze zleceniodawcą, na początek mojego proroczego zdania. Mimo to, te skoki mnie męczyły. Odnosiłem wrażenie, że nie żyję, ale drepcę w miejscu.

Zrozumiałem, że zostając prorokiem, popełniłem błąd.

Moja rodzina również została wciągnięta w tę historię.

Poza ojcem. W pogoni za wydarzeniami międzynarodowymi przez cały czas wędruje po kuli ziemskiej i nie zawsze ma czas zauważyć, co się dzieje w rodzinie.

Jakieś pół roku temu, przebywając w Mozambiku, przegapił małżeństwo Swietki. Swietka z Pietieczką razem ukończyli szkołę i razem poszli na tę samą uczelnię. W zasadzie domyślaliśmy się, że kiedyś się pobiorą, ale nie przypuszczaliśmy, że nastąpi to tak szybko. Na początku drugiego roku okazało się, że muszą natychmiast brać ślub. Początkowo nie rozumiałem powodu takiego pośpiechu, ale potem zorientowałem się, że Swietka będzie miała dziecko. Tata przysyłał z Mozambiku depesze pełne niepokoju, próbował zrozumieć, co się u nas dzieje. Wreszcie mama zakomunikowała mu o ślubie i tata przysłał stamtąd samolotem paczkę z jakimiś owocami, których nazwy nikt nie znał.

Owoce zjedliśmy.

Teraz również, wyjeżdżając do Japonii, zapomniał o ważnym momencie mojej biografii. Rozumiem, że bezrobocie w Japonii jest niezwykle ważne, ale rodzony syn również wymaga pewnej troski.

Zresztą, niezbyt się tym martwiłem. Tata, ze swymi ambicjami zawodowymi niewątpliwie zażądałby ode mnie, bym przepowiedział wydarzenia międzynarodowe, ja zaś czułem się niezbyt silny w tej kwestii.

W oczach Swietki strasznie urosłem. Przedtem odnosiła się do mnie z pewnym lekceważeniem, uważając się za o wiele starszą. Zrobiła się szczególnie ważna, kiedy wyszła za mąż i zaszła w ciążę. To znaczy, na odwrót. Choć „dzieci mieć, niewielka to mądrość”. Pamięta się klasykę. Pietieczka potwierdził to, oblewając po ślubie sesję zimową, w wyniku czego powędrował jako szeregowiec do Wilna.

Po tym jak przepowiedziałem jego telefony, siostra zaczęła mi się podlizywać. Koniecznie chciała się dowiedzieć, kogo będzie miała — chłopczyka czy dziewczynkę?

— A kogo byś chciała? — pytałem.

— Dziewczynkę!

— To znaczy, że chłopczyka będziesz mniej kochać?

— Coś ty, głupi?

— No to, co za różnica? — odpowiadałem filozoficznie.

Czekać na to, kiedy urodzi, a potem wracać, by zakomunikować jej rezultat, było niewybaczalną stratą czasu. Dlatego wykręcałem się od odpowiedzi.

Z mamą sprawa była bardziej skomplikowana. Wyczuła, że coś jest nie tak od razu, kiedy pojawił się u mnie zegarek. A kiedy posypały się telefonicznie zamówienia, mama okazała charakter.

Zazdroszczę go jej. Krzemień. Czasami mam wrażenie, że dziadek jest jej ojcem, nie zaś taty. Oboje posiadają — jakby to określić? — wewnętrzne zasady, czy jak? Mama na przykład zabrania ojcu przywozić jej ciuchy z zagranicy. Dawniej próbował, a ona oddawała je przyjaciółkom. Podkreślam — nie sprzedawała, ale oddawała za darmo. Darowała. Nie narzuca nam swoich poglądów. Oboje ze Swietką zawsze czekamy, co nam tatusiek przywiezie.

Mama ma ogromną intuicję. Czasami odnoszę wrażenie, że jest jasnovidząca. Zawsze zgaduje, kiedy w telewizji pokażą ojca i jego reportaż. Nie do końca orientuję się, co ona o nim sądzi. W ogóle, mama jest człowiekiem skrytym.

Tak więc, kiedy moja popularność zaczynała dorównywać sławie Ałły Pugaczowej, mama nie wytrzymała.

— Sierioza, może byś mi wyjaśnił, co się dzieje?

— Nic szczególnego. Odnalazłem swoje powołanie. Będę prorokować — odpowiadałem niefrasobliwie, ale miałem się na baczności.

— Nie o to chodzi. Ostatnimi czasy dzieje się z nami coś dziwnego. Ciągle łapię się na tym, że wszystko się powtarza. Rozumiesz? Rozmawiam z kimś i wydaje mi się, że to już było. Nie opuszcza mnie uczucie, że jest to związane z tobą.

— Coś ty! Co ja mam z tym wspólnego?

— Nie wiem. Dlatego proszę, żebyś mi wyjaśnił.

— Nie mogę — spuściłem wzrok.

— Dlaczego?

— Obiecałem, że nie będę mówić.

— Dobrze — odparła spokojnie. — To twoja sprawa. Obiecałeś, że będziesz milczeć, więc milcz. W takim razie jednak wytłumacz mi, jak długo masz zamiar trudnić się oszustwami?

— Jakimi oszustwami? — oburzyłem się.

— Tymi, które nazywasz przepowiedniami. Przecież ty oszukujesz. Nie wiem, jak to

robisz, ale wiem, że to oszustwo.

— Ale przecież moje przepowiednie się sprawdzają — zaprotestowałem.

— Tym gorzej. To znaczy, że oszustwo przyjmowane jest za prawdę.

— No... Ogólnie rzecz biorąc, masz rację — zmieszałem się. — To niezupełnie przepowiednie. Po prostu wiem to, czego nie wiedzą inni.

— Zabraniam ci, słyszysz? — powiedziała cicho. — Zabraniam.

Trzeba znać moją mamę, żeby ocenić jej słowa. Nigdy niczego nie zabraniała — ani mnie, ani Swietce. To nie znaczy, że nie wiedzieliśmy co sądzi o naszych postępach. Jednakże zakaz jako środek wychowawczy był przez nią całkowicie odrzucony. Być może dlatego nie palę i praktycznie nie piję alkoholu. Tolika za to bezlitośnie prali i oto rezultat — pali od szóstej klasy.

W takich warunkach przekroczenie zakazu było ponad moje siły. Zresztą, sam już dojrzałem, żeby zrezygnować z prorocत्व.

Ale jak to zrobić?

Można było po prostu zaniechać wszelkich przepowiedni, nie chciałem jednak zostać uznany przez moje otoczenie za człowieka lekkomyślnego. To znam przyszłość, to znów nie. Prorok jest zawsze prorokiem. Najlepiej byłoby zniszczyć samo wspomnienie o moim nieoczekiwanym darze. Żeby to zrobić, trzeba było koniecznie skoczyć wstecz, do chwili mojej pierwszej przepowiedni i żyć od nowa, już nie próbując stać się prorokiem.

To było najmądrzejsze rozwiązanie.

Powstrzymywały mnie trzy rzeczy.

Po pierwsze, znowu zostałbym bez zegarka i musiałbym czekać, aż dziadek podaruje mi go po raz trzeci.

Po drugie, utopieni wędkarze i dziewczynka, która wpadła pod samochód. Nie wiadomo, co z nimi będzie przy nowej powtórcie wydarzeń.

Po trzecie — Marina.

Marina Osocka była najpiękniejszą dziewczyną w naszej klasie. Zresztą, może w całej szkole. A, może w całej dzielnicy. Nie dosyć tego — Marina również świetnie się uczyła i miała klasę sportową w lotniarstwie.

Pewnego razu widziałem jak w Kawgołowie latała z góry. Czuję wtedy gorycz. Nigdy nie zdołałem pochwycić tego żarptaka. Rozumiałem, że w niczym nie jestem w stanie zrównoważyć jej wyjątkowych walorów. Zagraniczne ciuchy i przedmioty, które przywoził jej ojciec mogły wywrzeć wrażenie na innych dziewczynach, ale nie na niej. Jej trzeba było

zaprezentować coś własnego. A cóż takiego mogłem przedstawić? Trzy akordy na gitarze i niezłą znajomość przepisów futbolowych. Marnie.

Dlatego nawet nie śmiałem myśleć o Marinie, zadowolając się tym, że przyjaźniła się z Maksem — moim przyjacielem. Maks nieźle zna hiszpański, sam montuje aparaturę i ma dyplom miejskiej olimpiady matematycznej.

Ale jednak po moich sukcesach w roli wróżki, czy raczej wieszczbiarza — tak będzie precyzyjniej, zauważyłem, że Marina zaczęła się mną interesować. Nie pchała się do mnie, tak jak inni, z pytaniami czy wyrwą ją do tablicy. Interesowała ją naukowa strona zagadnienia.

— Jak ty to robisz? — zapytała mnie pewnego razu.

Znowu zacząłem mglście jej tłumaczyć o ośrodkach podkorowych i intuicji.

— Ciekawe, gdzie była twoja intuicja rok temu? — zapytała z namysłem.

— A co było rok temu?

— E, nic takiego. Po prostu, podobałeś mi się, ale zupełnie tego nie zauważyłeś.

Masz ci los! Od razu miałem ochotę skoczyć rok wstecz i zauważyć, niech to licha! Ale było mi żal — z trudem uciulałem roczek życia, tak wolno się ciągnie — i nagle wyrzucać go i wszystko zaczynać od początku? Przecież w taki sposób będę żył nie do przodu, ale do tyłu. To nic, teraz wiem, że mogę się jej spodobać, teraz chodzę w aureoli... Zobaczymy. Nie wiedziałem tylko, co począć z Maksem. W końcu to przyjaciel.

Ale Marina wciąż rozmawiała ze mną o ośrodkach podkorowych i tajemniczych możliwościach mózgu. Maks zaczął przeżywać. Natężył się i zdobył dyplom z fizyki. Ale cóż znaczył jego dyplom w porównaniu z moją przepowiednią, że dostanie dyplom z fizyki?

Mimo wszystko czułem się jakoś nieswojo, zupełnie jakbym zdobywał zainteresowanie Mariny przy pomocy tatusiowych ciuchów. Przecież zegarek dostałem od dziadka. Żadnych prawdziwych umiejętności przepowiadania nie posiadałem.

Po długich wahaniach postanowiłem skończyć z tym wszystkim. Nieco pocieszała mnie myśl, że w ten sposób zlikwiduję chłód jaki zakradł się w moją i Maksa przyjaźń. Ale Marina... Cóż, jeżeli potrzebuje proroków, to niech zwróci się do Cyganów.

W jednej chwili stałem swoją przeszłość. Znowu znalazłem się w szkolnym korytarzu, znowu wysłuchałem rozmów o tym, jakie będą tematy wypracowań, ale nie powiedziałem ani słowa. Możecie sobie wyobrazić odrazę, z którą po raz trzeci pisałem to samo. Pewnie dlatego dostałem 4/4. I czwórkę na okres.

Po dziesięciu dniach znowu stałem się posiadaczem zegarka, choć tym razem dziadek ofiarował mi go w szpitalu, do którego trafił w przeddzień moich urodzin. Wyglądał zupełnie

źle.

Nic mu nie powiedziałem.

Kiedy dostałem zegarek, schowałem go jak najgłębiej i ponownie przeżyłem te dwa miesiące, w czasie których poprzednio bez przerwy skakałem tam i z powrotem zajmując się prognozami. Tym razem zachowywałem się spokojnie, w żaden sposób nie zdradzałem swoich zdolności, choć czasami aż mnie korciło, by krzyknąć na cały głos: „Cóż ty najlepszego robisz! Za tydzień gorzko tego pożałujesz!” Ale milczałem.

Dzięki Bogu, w tym wariantcie wędkarze nie utonęli, a dziewczynka nie wpadła pod samochód. W każdym razie, nie wiedziałem o tym.

Najwyższy czas było pomyśleć o przyszłości, jak powiadała moja mama. Posiadanie zegarka sprawiało, że myśli o przyszłości stawały się zupełnie konkretne. Mogłem nie tylko marzyć i układać plany, ale również zajrzeć na kilka lat w przyszłość, aby sprawdzić, co z nich wynikło.

To było niebezpieczne. Przypominało skok na oślep w nieznanym miejscu na jeziorze czy rzece. Można sobie głowę rozbić. Powstawało mnóstwo pytań, a pierwszym z nich było — jak nie utracić kontaktu z zegarkiem?

Myślałem sobie tak. Założmy, że wybiorę jakiś moment w przyszłości i skoczę tam. Ja sam i wszystkie materialne ciała, w tym również zegarek, zajmą położenie, jakie będą zajmować w tej chwili. A co będzie, jeżeli ja i zegarek będziemy znajdowali się wówczas w różnych miejscach? Mogę znajdować się w delegacji, na urlopie, zegarek zaś zostawić w domu... A jeżeli mi się tak bardzo spodoba w przyszłości, albo zaistnieje takie niebezpieczeństwo, że trzeba będzie natychmiast skakać z powrotem? A zegarka nie ma.

Postanowiłem od tej pory nie rozstawać się z zegarkiem. W tym celu zdobyłem cienki i mocny stalowy łańcuszek, przewlokłem go przez uszko znajdujące się na kopercie zegarka i zacząłem nosić go na szyi jak medalion. Wkrótce przyzwyczałem się do niego, zegarek mi nie przeszkadzał, bo nic nie ważył. Żeby nie wędrował pod koszulą, klejem epoksydowym przylepiłem do niego pięciokopiejkówkę. Denerwując się trochę o zegarek, wykąpałem się. Zegarek wytrzymał kąpiel, w co właściwie nie wątpiłem — cudowny zegarek na pewno wykonano jako wodoszczelny i przeciwwstrząsowy.

Mamie i Swietce wyjaśniłem, że taka teraz moda.

— A co masz w medalionie? — zaintrygowała się siostra.

— Portret Johna Lennona — skłamałem.

— Pokaż!

— Nie pokażę. To relikwia.

Swietka odczepiła się.

Oczywiście, nie mogłem mieć gwarancji, że medalion w przyszłości również zawsze będzie przy mnie. Nie wiadomo co się może zdarzyć. Ale zakładałem, że zwyczaj noszenia go na szyi utrwali się na całe życie, i dzięki temu ryzyko w czasie skoków będzie mniejsze.

Cóż jednak znaczyło to ryzyko w porównaniu z największym niebezpieczeństwem, o którym nawet bałem się myśleć! Mogłem zalecieć tam, gdzie mnie nie ma. Długość skoku nie odgrywa tu roli. Następny dzień, czy następny rok — nikt z nas nie zna swej ostatniej godziny.

Stamtąd już się nie wróci.

I ta właśnie myśl nie dawała mi spokoju. Myśląc logicznie, jeżeli chciałem mieć stuprocentową gwarancję powrotu nie należało skakać w przyszłość nawet na jedną minutę.

Wtedy jednak na jaką cholere mi ten zegarek? Wstecz — nieciekawie, do przodu — strach. Pozostawało tylko sprawdzanie na nim czasu.

Życie natomiast toczyło się dalej — nowe, niepowtarzalne i przepiękne. Stęskniłem się za nim. Każdy dzień krył nieoczekiwane wydarzenia — pławiłem się w nich, ciesząc się i smucąc, czasami zapominałem o tym, że pod moją koszulą, jak mina o opóźnionym działaniu kołysze się cudowny zegarek.

Ukończyliśmy dziewiątą klasę i pojechaliśmy pielic warzywa na polach. Maks pojechał z nami. Jako zwycięzca miejskiej olimpiady fizycznej otrzymał w nagrodę skierowanie w Karpaty. Marina uznała to za zdradę. Chyba przed wyjazdem pokłócili się.

Po tym jak stałem się zwykłym człowiekiem, jak przedtem, jej stosunek do mnie również był taki jak dawniej. Byłem tylko przyjacielem Maksa, niczym więcej. Mimo wszystko jednak dzięki przyjaźni z Maksem uważała mnie za kogoś bardziej bliskiego, niż kogokolwiek z naszej klasy, i dlatego tak się jakoś stało, że w komsomolskomłodzieżowym obozie w dalszym ciągu byliśmy razem — pelliśmy tę samą grządkę, biegaliśmy się kąpać i chodziliśmy na dyskotekę, którą raz na tydzień urządził patrolujący nam kolchoz.

Maks był wciąż obecny duchem przy moich rozmowach z Mariną, choć wcale o nim nie wspominała. Powstała między nami milcząca umowa, że zachowamy status quo, choć trochę z nas pokpiwano nazywając mnie zastępcą Maksyma Kiryłowa.

Szczególnie aktywny okazał się Tolik i dziwiło mnie to. Najwidoczniej sam chciał zostać zastępcą Maksa.

Oczywiście, zauważono medalion na mojej szyi i również żartowano z tego powodu. Szczególnie intrygowała wszystkich pięciokopiejkówka przyklejona na odwrotnej stronie.

Marina również zapytała, co jest w środku. Zdarzyło się to, kiedy po pieleniu opalaliśmy się na brzegu jeziora.

Bez słowa nacisnąłem zameczek i otworzyłem kopertę zegarka.

— Oho! — powiedziała. — Skąd to masz?

— Dostałem od dziadka — odpowiedziałem.

— Jaki lekki! — zdziwiła się, biorąc zegarek do ręki.

Łańcuszek, na którym wisiał zegarek był krótki. Specjalnie zrobiłem go takim, żeby trudno było go zdjąć przez głowę. Dlatego też Marina musiała nachylić się nade mną, żeby lepiej się przyjrzeć. Jej twarz znalazła się tuż, tuż nad moją. I nagle ją pocałowałem. Przysięgam, że stało się to wbrew mojej woli.

Spodziewałem się, że się oburzy, albo nawet da mi w twarz. Ale ona w zamyśleniu obracała zegarek w rękach i zapytała:

— A po co piątak?

Chciałem odpowiedzieć, ale zabrakło mi tchu. Serce biło mi tak głośno, że bałem się, żeby przypadkiem nie usłyszała. Marina puściła zegarek i położyła się na kamieniu twarzą do dołu. Ja również ukryłem twarz. Czułem, że mi płonie.

Przez pięć minut leżeliśmy w milczeniu. Potem powiedziałem:

— Tam jest dziurka w kopercie. Zakleiliśmy ją.

— Aha — odparła.

Poleżeliśmy jeszcze jakiś czas.

— Chodźmy na spacer — zaproponowała.

Serce podskoczyło mi do gardła. Naciągnąłem dzinsy i koszulkę starając się nie patrzeć na Marinę. I poszliśmy wzdłuż brzegu jeziora.

Niepostrzeżenie skręciliśmy w las i poszliśmy po miękkim, sprężynującym pod stopami mchu. Czułem, że w moim wnętrzu panuje stan nieważkości. Milczeliśmy.

W lesie było cicho i ciepło, jak w starym domu, w którym napalono w piecu. Brzozy zza sosen jarzyły się różowym światłem. Słońce prześwietlało listki jak rentgen. Nie wiadomo czemu pachniało dynią, choć nigdzie żadnej dyni nie było ani śladu. Gdzieś daleko, jakby zupełnie w innym kraju kukała kukułka.

— Licz — powiedziała Marina, odwracając się w moją stronę.

Zatrzymaliśmy się i zaczęliśmy liczyć. Kukułka kukała długo i hojnie, najwyraźniej nic jej nie przeszkadzało. Wykukała nam całe życie.

— Sto siedemnaście — wyszeptała Marina

— U mnie tyle samo — odrzekłem.

— Czyżbyśmy mieli przeżyć sto siedemnaście lat! — roześmiała się.

— Razem... — dodałem ledwo słyszalnie.

Surowo popatrzyła mi w oczy, ale nic nie powiedziała. Ja zaś podszedłem do niej i objąłem ją. Co było potem, prawie nie pamiętam. Staliśmy między drzewami w pustym, poprzesywanym słońcem lesie i całowaliśmy się. Może godzinę, a może dwie.

Słońce opadło nisko. Las pociemniał.

Baliśmy się oderwać od siebie, baliśmy się opamiętać, bowiem czyhało na nas jedno, to samo pytanie.

— A co z Maksem? — zapytałem wreszcie, otrzeźwiawszy.

Odwróciła się i zaczęła iść przed siebie, bawiąc się trawką.

Wydało mi się, że taką właśnie zapamiętam ją na całe życie — idącą niefrasobliwie po miękkim mchu i machającą trawką.

Przyszedliśmy do obozu, kiedy zaczynała się dyskoteka. Tańczyliśmy razem. I nikt nie powiedział nam ani słowa. Nawet Tolik.

Tego wieczoru zasypiając pomyślałem, że był to najszczęśliwszy dzień mojego życia.

O co więc chodzi?! Aż mnie podrzuciło na łóżku. Chcę być z Mariną, chcę, żeby trwało to w nieskończoność! Proszę, oto zegareczek... Wstałem z łóżka i starając się nie obudzić śpiących kolegów wyszedłem na palcach do korytarza. Tam zapaliłem światło i przestawiłem wskazówki oraz kalendarz na wczorajszy dzień — na ten właśnie moment, kiedy po zakończeniu pielena poszliśmy nad jezioro.

Pielenia nie zaliczyłem do najszczęśliwszych chwil wczorajszego dnia.

Trzasnęła koperta zegarka, drgnęła przestrzeń — i znowu znalazłem się przy Marinie.

Znowu leżeliśmy na tym ogromnym, nagrzanym słońcem głazie, opadającym stromo w jezioro. I znowu pokazywałem jej zegarek oczekując z niecierpliwością, kiedy pochyli się nade mną. I znowu pocałowałem ją pierwszy raz.

Serce znowu biło mi głośno, ale nie tak szybko jak wczoraj.

Tym razem Marina odsunęła się lekko i powiedziała łagodnie:

— Sierioża, nie trzeba...

A potem był las i miękki mech, i już nie staliśmy, lecz leżeliśmy na nim, obejmując się i zaglądając sobie w oczy...

Kiedy pożegnałem się z Mariną po dyskotecce, natychmiast cofnąłem czas i znowu znalazłem się z nią na głazie.

Powtórzyłem ten numer pięć razy. Pięć dni pod rząd byliśmy z nią razem, dopóki nie

zaczęło mi to przypominać soku mango. Ona również nie zachowywała się tak samo jak za pierwszym razem, zupełnie jakby wiedziała o naszych powrotach. Moje serce biło równo i pewnie, działałem zgodnie z programem, wiedząc z góry — w której chwili pocałować, kiedy spojrzeć jej w oczy...

Piątego dnia wszystko poszło na opak. Po pierwszym pocałunku zerwała się na równe nogi i krzyknęła z oburzeniem:

— Martyncow, przestań!

Uspokoilem ją, poczekałem, aż ochłonie i zaprosiłem na spacer do lasu w nadziei, że się tam odegram. Wszystko było jak poprzednio — słońce, miękki mech i różowe brzozy... Co prawda zapach dyni zniknął i kukułka odliczywszy nam dziesięć lat, umilkła.

— Dziesięć lat... — z niezadowoleniem powiedziała przeciągle Marina.

— Ale za to nasze. Przecież będziemy razem — oznajmiłem pewnym tonem.

— Skąd ci to przyszło do głowy?

Podszedłem do niej, objąłem i pocałowałem, pociągając na miękki mech tak, jak robiłem to już niejednokrotnie. Ona jednak zaczęła się wyrywać i drzeć na całe gardło:

— Puść! Zwariowałaś? Puść mnie, słyszysz?

Rozzłościłem się. Przecież nie można zachowywać się tak niekonsekwentnie! Dysząc zapamiętałem wciąż próbowałem ją objąć i szukałem ustami jej uchylających się ust.

— Puść mnie, durniu!

— Przecież mnie kochasz. Sama mówiłaś — sapiąc ciężko, wysunąłem najważniejszy argument.

— Ja?!

Trzeba było zobaczyć jej twarz.

— Mimo wszystko będziemy razem — powiedziałem z uporem.

— Tylko ciebie mi brakowało!

— Zobaczysz.

Odepchnęła mnie, wstała i odeszła machając trawką. Ale zupełnie inaczej niż za pierwszym razem. No dobrze! — pomyślałem mściwie, odszukując zegarek pod koszulką. Jeszcze ci pokażę!

Później niejednokrotnie żałowałem, że swój pierwszy skok w przyszłość wykonałem w stanie afektu. I tego już się nie da naprawić. Mogłem skasować jakieś przeżycie w cudzej pamięci. Moje pozostawały na zawsze.

Wtedy bardzo pragnąłem natychmiast jej udowodnić, że mam rację. Byłem pewny, że

poberzemy się, gdy tylko trochę podrośniemy. No, bo jak? Na próżno przez pięć dni obejmowaliśmy i całowaliśmy się?

Nie odczuwałem w tym momencie strachu przed przyszłością. Pamiętałem, że kukulka obiecała mi nie mniej niż dziesięć lat. Do diabła z kukulką! Gorączkowo obliczyłem sobie, że na udowodnienie potrzebne będzie sześć lat, w czasie których ukończymy szkołę i uczelnię, przestawiłem kalendarz na sześć lat do przodu, ale datę pozostawiłem jak poprzednio. Już chciałem zatrzaskać kopertę, ale nagle przyszło mi na myśl, że byłoby nieźle zmienić godzinę, żeby nie wpaść od razu jak śliwka w kompot w nieznaną mi sytuację. Niech będzie noc. Rankiem obudzimy się, popatrzymy...

Marina zniknęła za brzoza. Ciekawe, gdzie się z nią znajdziemy za sześć lat? Nie wiadomo czemu wyobraziłem sobie turystyczny namiot — o tej porze roku pewnie będziemy mieli urlop — a w nim ja i Marina, w lesie, na brzegu jeziora. Na wodzie kołysze się przycumowany nasz dwumiejscowy kajak.

Przytknąłem zegarek do szyi i nacisnąłem wieczko.

Obudził mnie nieprawdopodobnie głośny dźwięk trąby dobiegający z głośników. W tej samej chwili błysnęło w oczy oślepiające światło. Podskoczyłem na łóżku, rozglądając się z przerażeniem.

Znajdowałem się w długim pomieszczeniu zastawionym szeregami piętrowych, żelaznych łóżek. Między łózkami, w milczeniu, nakładali gorączkowo wojskowe umundurowanie zupełnie nieznanymi ludziami. Instynktownie dotknąłem piersi. Dzięki Bogu, zegarek jest na miejscu! Otworzyłem go i spojrzałem, która godzina. Czwarta w nocy...

— Sierioża, czemu siedzisz? Zbiórka! — z dołu wychyliła się sympatyczna, ale również absolutnie nieznaną mi twarz, ja zaś wreszcie zrozumiałem, że znajduję się na górnym łóżku.

Niezręcznie zeskoczyłem w dół, omal nie potracając mojego sąsiada z dołu i schwyciłem zielone, żołnierskie bryczesy. Robić to, co wszyscy, nikogo o nic nie pytać! Wojna, czy co?

Od pierwszej chwili zorientowałem się, że nie mam zielonego pojęcia o tych sześciu latach, przez które przeskoczyłem.

Całkowita pustka.

— Sierioża, coś ty? Nie obudziłeś się? — ze zdziwieniem zawołał sąsiad z dołu, wrywając z moich rąk spodnie. — To moje. Tam są twoje!

Wskazał taboret na którym znajdowało się starannie złożone umundurowanie. Spojrzałem na naramienniki i przekonałem się, że jestem starszym szeregowym.

Niezbyt awansowałem! — przemknęła mi przez głowę myśl.

— Gdzie skarpetki? — zapytałem sąsiada.

— Zgrywasz się! — roześmiał się i wskazał mi onuce owinięte wokół cholewek butów.

Wszyscy naokoło już gdzieś biegli, łomocząc butami po wymalowanej podłodze.

Z onucami musiałem się pomęczyć. Wcześniej teoretycznie znałem już onuce, ale nie przypuszczałem, że tak niewygodnie owijać nimi stopę. Kiedy wciskałem nogę do buta, onuce zjechały mi na łydkę. Zapinając w biegu pas, pobiegłem za sąsiadem.

Wszyscy pobiegli w stronę drzwi i ja również. Za drzwiami była zbrojownia. Moi współtowarzysze zaczęli chwycić umieszczone na stojakach automaty. Chorąży wydawał magazynki z nabojami. Zwlekałem chwilę, czekając, kiedy pozostali wezmą broń. Na stojaku pozostał jeden automat. Złapałem go. Chorąży podał mi magazynek i rzekł:

— Ciebie razem z drużyną wyrzucimy koło wężoziku. Bierz swój kaem.

— A gdzie on jest? — ogłupiałym wzrokiem rozejrzałem się wokoło.

— Nie obudziłeś się, tam cię i z powrotem! — wrzasnął obracając mnie i popychając w odpowiednim kierunku. Zobaczyłem coś, co przypominało karabin maszynowy, złapałem go — był cholernie ciężki — i skierowałem się do wyjścia.

— Gołubiu, weź naboje! — krzyknął chorąży.

Wybiegliśmy z koszar i znaleźliśmy się na wyasfaltowanym placu oświetlonym dwoma reflektorami. Było trochę strasznie.

Żołnierze pospiesznie ustawiali się w szeregi. Starłem się nie stracić z oczu sąsiada i biegłem za nim jak przywiązany.

Zajął miejsce w szyku. Wyprężyłem się obok niego. Boleśnie rąbnął mnie w bok łokciem.

— To nie twoje miejsce!

Zrozumiałem, że trzeba stanąć podług wzrostu, a on był o wiele niższy ode mnie. Przebiegłem wzdłuż szyku i wcisnąłem się na chybił trafił między dwóch żołnierzy tego samego wzrostu co ja.

— Martyncow znowu na końcu — oznajmił chorąży stojący przed dwuszeregiem ze stoperem w ręku.

Stoper nieco mnie uspokoił. To mało prawdopodobne, by na wojnie sprawdzano czas zbiórki na stoperze. Wszystko wskazywało na to, że alarm jest ćwiczebny.

Chorąży przeprowadził apel. Wszyscy krzyczeli: „Jest” i ja również krzyknąłem „Jest”. Przed dwuszeregiem pojawił się kapitan.

— Czołem, żołnierze!

— Człemtelutanie! —odkrzyknęliśmy zgodnym chórem.

— Nasza kompania otrzymała zadanie bojowe — zająć wzgórze 531 na kierunku przewidywanego uderzenia przeciwnika, zatrzymać go i odrzucić kontratakami... Dowódcy plutonów, przystąpić do wykonania zadania!

Z lewej strony wyszedł z szyku porucznik, najwidoczniej nasz dowódca plutonu. Odwrócił się twarzą w naszą stronę i zawołał:

— Pluton, na moją komendę! W prawo zwrot!

Odwróciłem się jak należy. Podniosło mnie to poważnie na duchu.

— Krokiem marsz!

— Biegiem! Szybciej! — jeszcze raz rozkazał porucznik.

Mój sąsiad z niższego łóżka z dwoma skrzynkami naboju pod pachą wyskoczył w ślad za mną. Pod drzwiami koszar już warczała ciężarówka z brezentową plandeką. Wleźliśmy na skrzynię. Po minucie już gnaliśmy w noc, przyciskając zimne lufy do podbródków.

Wszyscy milczeli. Z nadzieją zerkałem na Gołubiowa. Mruknął do mnie, a ja westchnąłem z ulgą.

Ciężarówka zahamowała.

— Martyncow, prowadź drużynę na pozycję. Zajmijcie obronę. Po czerwonej rakiecie — do ataku! — polecił porucznik.

— Taa jest! — zawołałem radośnie. — Drużyna, za mną!

I wyskoczyłem z ciężarówki. W ślad za mną wysypali się moi ludzie, w tym również i Gołubow ze skrzynkami z amunicją. Naliczyłem sześciu ludzi. Ciężarówka pomknęła dalej.

Popatrzyłem po moich podkomendnych.

— Zająć pozycję! — wydałem rozkaz.

— Przestań panikować. Szary — odezwał się Gołubow — zapalimy.

Wszyscy wyciągnęli z kieszeni papierosy i oparłszy automaty o pnie, rozsiedli się pod drzewami. Ja również siadłem i włożyłem rękę do kieszeni. Okazało się, że palę papierosy „Łajka”. Trzeba było zapalić i z obrzydzeniem zaciągnąć się. Koszmarne paskudztwo.

— Już pełzną — wskazał głową niski chłopak ze skośnymi jak u Jakuta oczyma.

Spojrzałem w tamtą stronę. Przeciwny brzeg wąwozu opadał stromo w kierunku niewielkiej rzeczki nad którą słała się biaława mgła. W oparach przedświt wyływały z niej ciemne kontury czołgów. Za czołgami bezdźwięcznie sunęły ludzkie postacie z automatami w dłoniach.

— Trzeba strzelać... — powiedziałem niepewnie.

Nagle z przedniego czołgu wtrysnął krótki płomień i w tej samej sekundzie nad naszymi

głowami z wyciem i świstem przeleciał pocisk.

— Rozkazuj, czego siedzisz?! — Gołubiov zerwał się na nogi.

— Drużyna, na moją komendę! — Również poderwałem się. — Do nieprzyjaciela krótkimi seriami... Nie oszczędzać naboii!...

Wszyscy popatrzyli na mnie z zaciekawieniem.

— Chłopaki, no, róbcie coś! — zawołałem błagalnie. — Ustawcie ten interes! — wskazałem karabin maszynowy.

— To twoja robota! — Gołubiov rzucił się do kaemu i zaczął go odwracać.

— Ja nie potrafię — rozłożyłem ręce.

— Spietrał się dowódca — skonstatował Gołubiov kładąc się za kaemem i kierując go w stronę nacierających.

Moi żołnierze zalegli za drzewami. Zaczęła się wściekła strzelanina. Odczołgałem się na bok, odłożyłem automat i drżącymi rękami wyciągnąłem zza pazuchy zegarek. Obok świstały pociski. Biorąc pod uwagę okoliczności, powinienem wynosić się stąd jak najszybciej. Ale dokąd? W przyszłość niezbyt miałem ochotę. Trzeba wstecz, do mamy...

Nie opodal rozerwał się granat. Obsypało mnie ziemią.

Coś za ostro, jak na ślepaki... — zdążyłem pomyśleć przestawiając wskazówki i zacząłem naciskać na śrubkę kalendarza. Zamigotały lata, miesiące, dni... Pożegnaltym spojrzeniem powiodłem po mojej walczącej drużynie i zatrasnąłem kopertę.

W tej chwili czułem się jak dezterter.

Dzięki Bogu znalazłem się w domu, w swoim pokoju. Przede wszystkim spojrzałem na zegarek i upewniłem się, że trafiłem do tego samego roku, z którego skoczyłem w przyszłość, ale nie do lipca, lecz sierpnia. A więc obóz młodzieżowy był już poza mną. To i lepiej, nie wiadomo jak spojrzeć Marinie w oczy po wczorajszej historii.

Zacząłem analizować rezultaty mojego pierwszego skoku w przyszłość.

Historię z wojskiem rozwikłałem szybko. Jeżeli nie była to prawdziwa wojna, a tego byłem pewny, to znaczy, że odbywałem służbę wojskową po uczelni. Jakiej? Ciekawe byłoby się dowiedzieć.

O wiele bardziej przejmowałem się czymś innym, a mianowicie całkowitym brakiem w mojej pamięci informacji o przeżytych w tym czasie latach. Przecież w jakiś sposób je przeżyłem. Nie spadłem z księżyca prosto do koszar. Gołubiov, chorąży i porucznik doskonale mnie znali. Ale ja ich nie znałem. Wygląda na to, że ktoś zwany Siergiejem Martyncowem, służył razem z nimi, uczył się strzelać z karabinu maszynowego, awansował

na starszego szeregowca, a potem w jednej chwili o wszystkim zapomniał, kiedy z obozu młodzieżowego w jego ciało wskoczyłem ja? Dziwna sytuacja.

Myśląc logicznie, ów Siergiej Martyncow kiedy z niego wyskoczyłem pozostał tam, koło wąwozu, żeby strzelać do czołgów. Ale czy wróciła mu poprzednia pamięć? Czy na nowo nauczyłem się strzelać z automatu? Zupełnie nie wiadomo...

Powstawał tu jakiś galimatias — byłem tu, w domu, u mamy i jednocześnie służyłem w wojsku, ale w innym czasie, sześć lat później. Mało tego, kiedy skakałem tam i z powrotem, co zajęło mi nie więcej niż dwie godziny, poprzedni ja zdążył przeżyć parę miesięcy, wrócił z obozu, potem był nie wiadomo gdzie, a ja teraz siedzę w domu i łamię sobie głowę.

Zupełnie się zaplątałem.

Cóż to takiego ten czas?

Albo — cóż to takiego te czasy? Sądząc z wszystkich objawów, jest ich dość dużo. Muszę natychmiast porozmawiać z dziadkiem, postanowiłem.

— Sierioża, jesteś gotów? — dobiegł z drugiego pokoju głos mamy.

„Na co?” — przestraszyłem się i rozejrzałem wokoło. W tej samej chwili zorientowałem się, że właśnie się przebieram, bowiem byłem w spodenkach i w jednej skarpetce. Na krześle wisiał mój czarny, sztruksowy garnitur. A więc idziemy gdzieś z mamą.

— Zaraz! — odchrząknąłem i zacząłem się szybko ubierać.

Do pokoju weszła mama. Twarz miała surową. Zauważyłem worki pod jej oczyma. Mama była ubrana w ciemną suknię, a na szyi miała czarną chustkę.

— Chodźmy — powiedziała.

W korytarzu czekała na nas Swietka. Jej brzuch wyraźnie urósł. Łkała cicho, wycierając łzy rogiem chusteczki. Poczulem, że stało się coś strasznego, ale bałem się zapytać. W milczeniu zaczęliśmy schodzić po schodach.

Przed bramą stała taksówka. Wsiedliśmy do niej również w milczeniu.

— Do akademii Marynarki Wojennej proszę — rzekła mama.

I w tej chwili domyśliłem się.

Przed akademią stał szereg samochodów i autobusów. Na nasze spotkanie wyszedł oficer i poprowadził moją mamę pod rękę schodami pod górę. Razem z siostrą poszliśmy za nimi.

Drzwi auli były szeroko otwarte. Bezszelestnie przechodzili przez nie ludzie. Z sali płynęła żałobna muzyka.

Pośrodku sali stała na podwyższeniu trumna obita czerwonym materiałem i otoczona wieńcami z żałobnymi szarfami. W trumnie leżał dziadek w mundurze admirała. Koło trumny

stali podchorążowie z karabinami. Błyszczały bagnety.

Posadzono nas na krzesła po prawej stronie.

Do sali wchodzili ludzie, kładli kwiaty i przystawali, patrząc na dziadka. Leżał z mocno zaciśniętymi wargami, zupełnie jakby uśmiechał się tajemniczo i gorzko. Bałem się patrzeć na niego. Podchodzili do nas jacyś ludzie, szeptali jakieś słowa. Potem zaczęła się uroczystość żałobna.

Słowa docierały do mnie z trudem. „Wybitny dowódca”, „uczciwy i pryncypialny”, „bezprzykładna służba Ojczyźnie”. Przypomniałem sobie, jak do mnie mrugnął, ofiarowując mi zegarek. Zabrał ze sobą jego tajemnicę.

Sześciu oficerów uniosło trumnę na ramionach i ponieśli ją do wyjścia. Z przodu kołysał się szereg wieńców i atlasowych poduszeczek z odznaczeniami dziadka.

W autobusie dziadek leżał w zamkniętej trumnie między mną a mamą. Na wieku spoczywały jego admiralska czapka i kordzik.

Jednak mi go nie podarował.

Na cmentarzu znalazłem odpowiednią chwilę, cofnąłem się i schylony, ukryłem się między nagrobnymi krzyżami i pomnikami. Trumnę opuszczono już w mogiłę. Głucho stuknęła ziemia o wieko. Nagle w niebo uderzyła salwa honorowa. Stałem obok marmurowego krzyża, na którym widniało zmatowiałe złoto napisu: „Fiodor Fiodorowicz Gorbyl Zasiiecki, adwokat”. Na marmurowej płycie stała maleńka, również marmurowa ławeczka. Przysiadłem na niej i ręka mimowolnie skierowała się w kierunku piersi, szukając zegarka.

Za co mnie tak ukarał? Przecież nie mogę żyć dalej wiedząc, że on leży tu, przysypany ciepłą, letnią ziemią. Ze strachem spojrzałem na matowy, oksydowany cyferblat i po raz pierwszy zrozumiałem, czego jestem posiadaczem. Potem trwało to już tylko chwilę.

Skoczyłem dokładnie dwa tygodnie wstecz...

... I znalazłem się pod wodą. Masz babo placek! Nerwowo machając rękami usiłowałem się wynurzyć, ale ktoś mi nie pozwalał. Trzymano mnie za ramiona, sychano w dół... Woda pieniała się pęcherzykami powietrza. Zebrałem resztkę sił, zrzuciłem obie ręce i wynurzyłem się na powierzchnię. Przede mną były rozradowane twarze Maksa i Tolika. Niewiele myśląc, instynktownie, wałnąłem Maksa pięścią w nos.

— Coś ty?! — zgłupiał. — Zwariowałeś, czy co?

Chyba się obraził i popłynął w stronę brzegu majestatycznym, regularnym kraulem. Tolik popłynął w ślad za nim.

Rozejrzałem się. Byliśmy w Ozierkach. Na plaży leżeli opalający się. Popłynąłem do

brzegu. Tam siedzieli i leżeli nasi, a wśród nich Marina. Nie patrząc na nikogo znalazłem swoje ubranie, szybko je nałożyłem i poszedłem sobie.

— Sierioza, ty dokąd? Przecież dopiero przyjechaliśmy! — krzyczano za mną,

— Przytopiliśmy go i się przestraszył — wyjaśnił Tolik.

Mam ich w nosie! Przestraszył się... Dopiero co pochowałem dziadka.

Przyleciałem do domu i przede wszystkim ostrożnie wypytałem Swietkę, gdzie jest dziadek. Wzruszyła ramionami: w domu...

— A jak się czuje?

— Wspaniale. A dlaczego?

Wykręciłem numer telefonu.

— Dziadku, to ja Siergiej. Czy mogę do ciebie przyjechać?

— Serdecznie zapraszam — odpowiedział ze zdziwieniem.

Pojechałem do niego.

Te chwile, kiedy jechałem tramwajem do dziadka były najstraszniejsze. Po prostu cały dygotałem. W ciągu ostatnich kilku godzin przeżyłem nieudane oświadczenia Marinie w lesie, alarm ćwiczebny, pogrzeb dziadka i omal nie zostałem utopiony. Uczucia, mówiąc szczerze, dość różnorodne. Ale nie to było najważniejsze. Przed oczyma miałem mocno zaciśnięte wargi dziadka leżącego w trumnie.

Przywitał mnie bardzo serdecznie.

— Wchodź... Masz jakieś nowe pytania?

— Dlaczego nowe?

— No, przecież rozmawialiśmy wczoraj. Opowiadałeś mi o swoich skokach, jak je nazywasz. O swoich wygłupach i skokach. Nie obrażaj się. Pogodziliście się z Mariną? Zdaje się, że chciałeś jej coś dzisiaj powiedzieć w Ozierkach?

Ciekawa informacja, pomyślałem, przechodząc do gabinetu.

Wszystko było tam po dawnemu. Na stole leżał gruby zeszyt w skórzanej oprawie. Był otwarty na ostatnich stronach zapisanych równym, drobnym pismem dziadka.

— Co piszesz? — zapytałem wskazując zeszyt.

— Pamiętnik... — odpowiedział i jakoś dziwnie na mnie popatrzył.

— Dla wydawnictwa?

— Dla ciebie — dziadek zaczynał się irytować. — Uważam, że każdy człowiek powinien pozostawić wspomnienia o sobie swoim potomkom. Chociażby krótkie. Nadchodzi taki moment, w którym stają się niezbędne synowi albo wnukowi. Zresztą, mówiliśmy o tym

wczoraj. Zapomniałeś?

Najwidoczniej tym razem ja popatrzyłem na niego dziwnie, bowiem dziadek nagle pochylił głowę na bok, z zakłopotaniem cmoknął i natychmiast go olśniło.

— Skakałeś?

— Tak — opuściłem głowę.

— Aha, i to się zdarzyło przed naszą wczorajszą rozmową. Skakałeś w przyszłość i dlatego nic nie wiesz o tym, co się zdarzyło z tobą tutaj — dziadek z zadowoleniem kiwał głową, stopniowo rozwikłując zagadkę. — A teraz wróciłeś i jesteś zdezorientowany...

Jeszcze niżej opuściłem głowę.

— No, i jak tam jest w przyszłości? Jakie nowiny? — zapytał pozornie niefrasobliwie, ale jak mi się wydało z zamaskowanym niepokojem.

Uniosłem głowę. To było strasznie bolesne. Nasze spojrzenia się spotkały i dziadek wszystko odczytał z mojego wzroku.

— Siergiej, Siergiej... — Skierował mnie w stronę fotela, a przy okazji lekkim ruchem dotknął mojej piersi, tam gdzie pod koszulą znajdował się zegarek. — Zegareczek na miejscu. Ja, swego czasu nie wpadłem na pomysł, żeby mieć go zawsze przy sobie... Zuch.

Siadłem w fotelu, dziadek — naprzeciwko. Przez chwilę patrzył na mnie, a właściwie poprzez mnie.

— Kiedy to się stanie? — nagle zapytał mnie cicho.

Spojrzałem na niego błagalnie. Nie mogłem mu powiedzieć — kiedy umrze.

— Rozumiem. Nie trzeba — powstrzymał mnie. — Mam nadzieję, że zdążę to ukończyć — popatrzył na zeszyt. — A więc, wróciłeś z mojego powodu?

Skinąłem głową.

— Niepotrzebnie. Żywi nie powinni spotykać się z martwymi. To przeciwne naturze. Powinni tylko o nich pamiętać.

— Dziadku, weź go z powrotem — wyciągnąłem za łańcuszek zegarek, który w mojej ręce wyglądał jak narzędzie mordu.

— Schowaj — skrzywił się. — Czy ty naprawdę myślisz, że cofnę się przed śmiercią? Nieraz się z nią spotykałem. Nie będę ukrywał, to niesympatyczna dama, ale można stać się silniejszym od niej. Tym bardziej, jeżeli wiesz, że życie i śmierć to pojęcia względne.

— Jak to? — nie zrozumiałem.

— To konsekwencja fenomenu zegarka. Jeszcze nie rozumiałeś? Widać nie zadałeś sobie trudu, by o tym pomyśleć. Posłuchaj mnie uważnie. Wszystko to są wyłącznie logiczne konkluzje.

I dziadek wygłosił mi odczyt o teorii zegarka, to znaczy o teorii czasoprzestrzeni, którą wprowadził z właściwości tego zadziwiającego instrumentu. Oczywiście, nie była to klasyczna teoria fizyczna — dziadek nie dysponował niezbędną wiedzą — ale jakieś tam pojęcie o względności czasoprzestrzeni posiadał, co mnie zresztą zaskoczyło.

Dziadek powiedział, że czas nie jest pojedynczy. Czasów jest nieskończona mnogość. A dokładnie, czasoprzestrzeni, jak się wyraził. To samo, co czterowymiarowa czasoprzestrzeń u Einsteina, z tą tylko różnicą, że u niego jest jedna, a w rzeczywistości jest ich nieskończenie wiele.

Uprzedzałem już, co oznaczają słowa „w rzeczywistości”.

Wszystkie te przestrzenie przecinają się w jednym, jedynym punkcie. Tym punktem jak zapewne się domyśliliście jest właśnie mój zegarek. Każdą czasoprzestrzeń można porównać do taśmy nieskończonego filmu, na którym kadr po kadrze zostały zarejestrowane wszystkie stany wszechświata. Przy pomocy zegarka udaje mi się nałożyć na siebie kadry różnych przestrzeni, zupełnie jakbym przytykał jedną taśmę do drugiej i przeskakiwał z kadru w kadr.

Potem żyję już w innej przestrzeni, ale z tamtym, starym nic się nie stało. Film leci dalej. Mało tego, swoim skokiem kształtuję nową czasoprzestrzeń. Jeżeli wskakuję w kadr gdzieś w przyszłości, tak jak się to stało, kiedy trafiłem do koszar, to tylko przez chwilę w nim istnieję, dalej natomiast film się rozdwaja. Ten człowiek, który nazywał się Siergiejem Martyncowem i dosłużył się starszego szeregowca, posiadał dobrą pamięć i wojskowe nawyki, najprawdopodobniej pomyślnie odparł atak, ja zaś, który wskoczyłem z kadr mojego życia z zupełnie innego czasu, poprowadziłem film zupełnie inną drogą i zmuszony byłem uciekać, pozostawiając samego siebie w lesie z automatem i całkowicie bezradnego. W rezultacie, tam w przeszłości biegają teraz dwa podobne filmy — w jednym starszy szeregowiec Siergiej Martyncow odpierał atak, w drugim zaś, ten sam starszy strzelec utracił niespodziewanie pamięć i wojskowe doświadczenie, najprawdopodobniej haniebnie uciekł z pola walki porzuciwszy automat...

Istotna różnica, nieprawdaż?

— A więc to znaczy, że mnie... nas jest wielu? — wymamrotałem.

— I ciebie jest wielu, i mnie jest wielu, i wszystkich — bardzo, bardzo wielu — wesoło powiedział dziadek. — Cały problem w tym, że nie wiemy o naszym wspólnym istnieniu. Czasami mamy jakieś niejasne domysły — bądź co bądź przestrzenie wpływają na siebie nawzajem. Wtedy powstaje jakiś niewyraźny domysł, wspomnienie jakby już to ci się kiedyś przydarzyło. Stąd właśnie przeczucia i przepowiednie, które się sprawdziły. Każdy z nas żyje nieskończoną ilością żywotów. W bliskich przestrzeniach pokrywają się one ze sobą, w

dalszych — rozchodzą się. Być może w jakiejś odległej przestrzeni jeszcze się nie urodziłem. W innej zaś w ogóle nie pojawię się na świecie... I tych i tamtych przestrzeni jest nieskończenie wiele. A więc? — zapytał, jak nasz nauczyciel matematyki.

— A więc... — powtórzyłem tępo.

— A więc, nieskończona ilość moich „ja” istniała, istnieje i będzie zawsze istnieć! — efektownie zakończył dziadek.

Przez minutę to do mnie nie docierało.

— Przecież to... nieśmiertelność... — wymamrotałem.

— Słusznie. Nieśmiertelność — dziadek nie wiadomo czemu zachichotał. — Ale taka nieśmiertelność ani mnie ziębi, ani grzeje, ponieważ nie stykam się z innymi swoimi „ja”.

— No, to masz. Stykaj się — znowu podałem mu zegarek.

— Nie, Sierioża — odsunął go. — Już wybrałem. Nie wypada na starość... — dziadek nie skończył.

Spowaźniał nagle, zamknął się w sobie. Milczeliśmy długo.

— Tak więc pozostało mi zupełnie mało... — wreszcie się odezwał. — No cóż... Należy kończyć swoje sprawy. Idź już, Sierioża.

Usiadł za biurkiem i przysunął zeszyt do siebie. Wstałem i sterczałem obok niego jak posąg, nie mając siły ruszyć się z miejsca.

— Idź już, idź! — powiedział z niezadowoleniem.

Pochyliłem się sztywno, żeby go pocałować.

— A to co nowego? — zawołał z rozdrażnieniem, opędzając się przede mną jak przed muchą.

Pospiesznie opuściłem pokój.

Nastąpiły męczące dni, z których każdy przybliżał fatalną datę. Nie widziałem wyjścia z zaistniałej sytuacji. Nie dopuścić do śmierci dziadka mogłem tylko w jeden sposób — samemu przestać żyć. Nie, nie popełniać samobójstwa, broń Boże, ale po prostu pętać się po czasoprzestrzeni w granicach tych czterech miesięcy, które minęły od dnia moich urodzin, Przestałem jeść i wychodzić na spacer, Przyjaciele na próżno dzwonili do mnie, nie mogąc pojąć, co się ze mną stało. Mama, oczywiście, również to zauważyła, ale nawet ona nie wyczuła, co kryje się za moją apatią.

— Sierioża, co z tobą? — zapytała, kiedy kolejny raz odmówiłem zjedzenia obiadu.

— Zakochał się. Na pewno — powiedziała Swietka.

— Nie wygląda na to... — odparła z powątpiewaniem mama.

Zostały jeszcze dwa dni. Czułem się zarazem jak skazany na śmierć, któremu zakomunikowano datę wykonania wyroku i jak sędzia, który wyrok ten podpisał. Po raz pierwszy doceniłem litość i mądrość przyrody czy losu, sam nie wiem, które trzymają nas w nieświadomości naszej godziny śmierci. A choć jesteśmy przekonani o tym, że jest nieuchronna, bowiem nikomu nie udało się jej uniknąć, żyjemy spokojnie i nawet cieszymy się dzięki zupełnemu drobiazgowi — nieświadomości chwili odejścia. Dokładna jej znajomość, choćby nawet dzieliło nas od niej sto lat, paraliżuje. Człowiek przestałby żyć, tylko odliczałby owe sto lat, które jeszcze zostały.

Okazało się, że jest to słuszne nie tylko w odniesieniu do samego siebie, ale i bliskich.

W chwili najbardziej ciężkich rozmyślań zatelefonował dziadek.

— Sierioża, jeszcze tu jesteś? — zapytał.

— W jakim sensie?

— Nie spróbowałeś skoczyć do przodu?

— Nie.

— Niesłusznie. To męcząca procedura, wierz mi i lepiej będzie jeżeli jej unikniesz.

Wiele razy musiałem żegnać bliskich i przyjaciół.

Słuchając z boku, można było pomyśleć, że mówi o pożegnaniu na dworcu.

— Zmykaj mój mały. Jeszcze będziesz musiał wiele doświadczyć — mówił dalej.

— Co ty mówisz! — krzyknąłem, tak mi się zrobiło przykro. Natychmiast jednak uświadomiłem sobie, że rozmawiam z człowiekiem, który pojutrze umrze. — Dziadku, kochany, nie wiem, jak mam ci to powiedzieć... Po co mi go podarowałeś? Co mam teraz począć?

O mało nie rozpląkałem się jak pierwszoklasista, w gardle coś mi tkwiło.

— Aha, przecież cię uprzedzałem! — złośliwie odezwał się dziadek. — Sam jesteś sobie winien. Po co przy nim majstrowałeś? No, wynoś się stąd, żebyś cię więcej nie widział!

Wyganiał mnie w inną przestrzeń.

— Jak to „wynoś się”? Przecież ja nie rakieta... Tutaj pozostanie mój drugi „ja”...

— I on właśnie mnie odprowadzi — powiedział cicho dziadek. — Żegnaj, chłopcze. Nie wracaj już więcej do mnie, nie trzeba.

Nie mogłem mu odpowiedzieć, gardło miałem zaciśnięte.

Zacząłem przygotowywać się do dalekiej drogi. Od razu zrozumiałem, że skoczę daleko, żeby raz na zawsze pożegnać się z niepowodzeniami młodości, rozpocząć nowe życie i zapomnieć o cudownym darze otrzymanym od dziadka.

Oczywiście, mogłem przeskoczyć nieprzyjemną uroczystość pogrzebu i pojawić się pierwszego września w dziesiątej klasie jak gdyby nigdy nic. Ale nie wiadomo czemu wydawało mi się to podłością. Spotykać się z przyjaciółmi również nie miałem ochoty. Zbyt wiele namieszałem ostatnimi czasy, zbyt skomplikowałem nasze wzajemne stosunki i samemu zbyt zaplątałem się w czasie, żeby pojawić się tak po prostu z beztroską fizjonomią.

I chociaż doskonale wiedziałem, że nie mają pojęcia o moich skokach, czas zaś płynął dla nich zwykłym nurtem, mimo wszystko miałem wrażenie, że wiedzą o każdym moim kroku.

Nie, nie, polecieć daleko, pożegnać się z tymi poniżającymi latami, kiedy nie traktują cię jak człowieka, tylko jako coś w rodzaju półproduktu ludzkiego, całe zaś twoje życie nie ma tej samodzielnej wartości i służy jedynie jako przygotowanie do tego prawdziwego, dorosłego życia. Odlecieć, i koniec! Tam się zorientujemy.

Szykowałem się poważnie, żegnałem na długo, na zawsze. Sentymentalne ściskanie w gardle towarzyszyło moim pożegnaniom. Przyszedłem na kolację, czym zaskoczyłem mamę, byłem cichy i pokorny. Patrzyłem na nią i na siostrę, starając się unieść ze sobą tę chwilę, dlatego bo nigdy się już ona nie powtórzy. Nagle spostrzegłem, że na wskazującym palcu lewej ręki mamy bieleje kawałek plastra. Wczoraj czyściła rybę i skaleczyła się w palec. Zapragnąłem pocałować go, żeby szybciej się zagoił. I zrobiłbym to, gdybym się nie obawiał, że będę sprawiał wrażenie nienormalnego.

Ja zaś byłem normalny, bardziej normalny i bardziej wrażliwie patrzący na życie niż kiedykolwiek przedtem!

Nagle Swietka zmieniła się na twarzy, jakby zasłuchała się w siebie, a po chwili rozpromieniła się:

— Mamo! On kopie!

— To nic strasznego — uśmiechnęła się mama,

— Sierioża, chcesz dotknąć? — Podeszła do mnie i położyłem dłoń na jej brzuchu. Był napięty i ciepły, jak arbuz na basztanie. Nagle coś słabiutkiego, lecz prężnego uderzyło mnie w dłoń i przyczało się, jakby przestraszone własną śmiałością.

Był to mój siostrzeniec Nikita, z którym spotkamy się dosłownie za pół godziny.

To wszystko może się wydać śmiesznym, ale w oczach zakręciły mi się łzy i pospiesznie poszedłem do swojego pokoju nie wypiwszy herbaty,

Nie mogłem już zwlekać! Wiedziałem, że w każdej chwili może zabrzmieć dzwonek i gospodyni dziadka, płacząc... Nie myśleć o tym! Wszystko już postanowione.

Powiodłem pożegnalnym spojrzeniem po moim pokoju, w którym każdy przedmiot był

mi bliski — gitara, magnetofon z kasetami, dzinsy i adidas... Ciekawe, co mnie tam spotka? Popatrzyłem również na stojący pod biurkiem kosz na śmieci, w którym piętrzył się stos porwanych w drobne strzępki papierów. Wczoraj, przygotowując się do przyszłości, zniszczyłem pewne dokumenty, które uznałem za niepotrzebne i kompromitujące mnie w nowym życiu. Były wśród nich dzienniczki szkolne, listy od dziewczyn — spuścizna siódmej klasy, cieniutki zeszytek z wierszami, które próbowałem pisać rok temu, kiedy kupiono mi gitarę.

Gdybym pozostawił to wszystko w stanie nienaruszonym, mogłem się spotkać z moją przeszłością w przyszłości. Ja zaś nie chciałem tego, Całkowicie zrywałem z sobą, a właściwie z nim — tą miernotą i niekonsekwentnym typem, ociążalym i leniwym obserwatorem, egoistą Siergiejem Martyncowem, pozostawiając go by dożywał młodość w swojej smutnej czasoprzestrzeni pozbawiony jakiegokolwiek cudownego daru.

Leciałem w inne przestrzenie i światy, tam gdzie teraz rozgrywało się moje wspaniałe, dorosłe życie.

Żegnaj, mamó! Żegnaj Swietko z siostrzeńcem w brzuchu!

Żegnaj, ojczu!

Kiedy was zobaczę, będziecie już inni. I ja również będę inny.

Żegnaj na wieki, dziadku! Wybacz mi.

Położyłem się na tapczanie trzymając przed sobą zegarek i dygocąc ze zdenerwowania, zacząłem go nastawiać.

Już wcześniej wybrałem rok dwutysięczny. Pociągają mnie krągłe daty. Poza tym stawałem się dwa razy starszy, Poważny, trzydziestodwuletni mężczyzna. Była również i ambicyjka — znaleźć się w dwudziestym pierwszym wieku wcześniej niż współcześni.

Wybrałem jesień dwutysięcznego roku. Dzień jesiennej równonocy. Babie lato. Lubię jesień. Godzinę i minutę pozostawiłem nie zmienioną — około jedenastej wieczorem.

Posłuchałem przez chwilę. Mama w swoim pokoju stukała na maszynie. Swietka najprawdopodobniej już spała.

Tuż przed zatrzaśnięciem wieczka koperty poraziła mnie straszna myśl — a nuż tam, w dwutysięcznym roku nikogo już nie ma? A może wydarzyła się ta straszna katastrofa, o której wciąż się mówi?

Ale nawet to mnie nie powstrzymało. Prawdopodobnie wierzyłem w ludzki rozsądek.

Przyłożyłem zegarek do szyi i z całej siły, obydwojema rękami nacisnąłem wieczko.

Moje położenie w przestrzeni nie uległo zmianie. Leżałem na tym samym tapczanie, w

tym samym pokoju. Słabo świeciła nocna lampka. Byłem przykryty kocem.

Od razu zorientowałem się, że nie mam na sobie niczego, nawet zegarka.

Obok mnie, pod tym samym kocem, leżała piękna, nieznajoma kobieta. Jedną ręką obejmowała mnie za szyję.

Nie skłamię, było mi przyjemnie, ale proszę mnie właściwie zrozumieć. Po prostu nie byłem na to przygotowany. Niewątpliwie było to coś gorszego niż znaleźć się oko w oko z czołgiem.

Instynktownie odskoczyłem od niej i przyjrzałem się jej z przerażeniem.

Była blondynką o pulchnych wargach i lekko zadartym nosku. Przysięgam, widziałem ją pierwszy raz w życiu. Nie, to nie Marina... Nie mogła się tak zmienić.

Żona? Nie żona? Jak ma na imię? — mniej więcej takie pytania galopowały mi przez głowę.

— Co ci, Sieriożek? — wymruczała.

Wyskoczyłem z łóżka i zacząłem miotać się po pokoju jak spłoszony zając. Zrobiło mi się straszliwie wstyd.

— Cicho! Obudzisz dziecko — powiedziała niezadowolonym tonem.

„Żona...” — pomyślałem z rezygnacją.

— Pić mi się chce — powiedziałem pierwsze, co mi przyszło do głowy i pomaszerowałem do kuchni.

Siedział w niej nieznany mi młody człowiek i czytał gazetę po angielsku. Jego długie włosy były splecione w drobniutkie warkoczyki. Warkoczyków było dużo. Zwisały mu z głowy jak sopolki.

— Cześć — powiedziałem na wszelki wypadek.

— Cześć — odpowiedział obojętnie.

Napiłem się wody, po prostu, żeby coś robić. Przecież nie będę mu się przedstawiać? Pewnie mnie dobrze i od dawna zna.

— Jest coś na ząb? — spytałem.

— Popatrz w lodówce — machnął głową.

W żaden sposób nie mógł być moim synem. Miał na oko jakieś szesnaście lat. Chociaż wszystko możliwe. Akceleracja mogła się w tym czasie wzmóc.

Zajrzałem do lodówki. Była wypełniona przede wszystkim rozmaitej wielkości tubkami, takimi jak od pasty do zębów.

Patrzyłem na nie z konsternacją. Chłopak oderwał się od gazety, również zajrzał do lodówki i schwycił dużą tubę, na której widniał napis „Drugie danie nr5”. Otworzył zakrętkę,

podniósł tubę do ust i wycisnął na język coś zielonkawego.

Poszedłem za jego przykładem. „Drugiego dania nr 5” już nie było, więc zadowolilem się „Pierwszym nr 7”. W smaku przypominało grochówkę.

— Lewa ta tuba — oznajmił chłopak zakręcając pojemnik.

Moja mi smakowała. Wycisnąłem jeszcze trochę. Zlizując zupę z warg poczułem nagle, że przeszkadza mi coś kłującego. Dotknąłem twarzy i przekonałem się, że mam wąsy.

Wąsy mnie załamały. Przestraszyłem się. Zrozumiałem, że w żaden sposób nie zdołam odtworzyć wydarzeń minionych szesnastu lat.

Nie miałem jednak czasu na rozmyślania. Do kuchni wpakował się korpulentny, łysawy facecik, również w samych spodenkach. Nie bez trudności poznałem w nim Pietieczkę, tylko nader spasionego i postarzałego.

Ucieszyłem się, jakbym zobaczył kogoś wyjątkowo bliskiego, choć poprzednio nie czułem do niego jakiejś szczególnej sympatii.

— Nikita, marsz spać! — rozkazał chłopakowi, który niechętnie wykonał polecenie.

Pieteczka usiadł przy stole naprzeciwko mnie i z obrzydzeniem wycisnął do ust z pozostawionej przez Nikitę tubki „Drugie danie nr 5”.

— Żeby tak mięska... — westchnął. — Tatiana śpi?

— Śpi — skinąłem głową.

W ciągu kilku sekund zdobyłem morze niezbędnych mi informacji. Nikita był jego synem, to fakt, a więc moim siostrzeńcem, który pół godziny temu kopał mnie piętą w dłoń, Tatiana zaś to niewątpliwie moja żona.

— No co, zdecydowałeś się? Będziesz brał? — zapytał Pieteczka, jakby kontynuując przerwana rozmowę.

— Nie, chyba nie będę — odpowiedziałem z namysłem, uznając, że chwilowo rozsądniej będzie wykręcać się od wszelkich propozycji. Po co mam brać jakiegoś kota w worku?

— Głupiś... — Pieteczka ziewnął i podrapał się po owłosionym brzuchu. — Wózek jest zupełnie nowy, nie ma nawet dwudziestu tysięcy.

Podniósł się i ruszył w stronę drzwi.

— Może jeszcze się zastanowisz?

— Zobaczymy — odparłem.

Kiedy zostałem sam, szybko obejrzałem kuchnię, wysunąłem szuflady stołu kuchennego, zajrzałem do szafek. Nic ciekawego. Zdażyłem jedynie spostrzec swoją starą, ulubioną filizankę. To było miłe spotkanie.

Wróciłem do pokoju. Żona spała, odwróciwszy się do ściany. Położyłem się ostrożnie obok, starając się jej nie obudzić. Ranek mądrzejszy od wieczoru... — pomyślałem rozsądnie, zasypiając.

Ranek jednak okazał się nie mądrzejszy, ale zagmatwany. Na moją głowę posypały się kolejne zagadki. Musiałem przejawiać niezwykle spryt, by nikt nie zaczął mnie podejrzewać, że jestem samozwańcem.

Kiedy się obudziłem, żony, chwała Bogu, obok mnie nie było. Za to natychmiast przybiegła dziewczynka, mniej więcej siedmioletnia, z warkoczykami i kokardkami, i wołając: „Dzień dobry, tatusiu!” zaczęła mnie całować.

— Dzień dobry — odpowiedziałem. — Jak ci na imię?

— Dasza... — oznajmiła ze zdziwieniem, natychmiast jednak roześmiała się, pomyślawszy że żartuję. Również się roześmiałem, choć nie miałem zamiaru żartować.

Narzuciłem jakiś szlafrok, który okazał się na mnie zbyt mały i przemknąłem do łazienki, starając się, by nikt mnie nie zauważył. Tam wreszcie obejrzałem się w lustrze. Obrzydliwa, wąsata mordą. Nie namyślając się długo złapałem brzytwę, pędzel i błyskawicznie zgołem wąsy. Goliłem się pierwszy raz i dlatego trochę się pozacinałem.

Domyślałem się, że w najbliższym czasie wiele rzeczy będę musiał robić po raz pierwszy w życiu. Gdzie jest zegarek, niech go diabli?!

Wyszedłem z łazienki, trochę oberwałem od żony za to, że wziąłem jej szlafrok, jak również za zgolone wąsy, a potem, odnalazłszy w szafie męskie ubranie, które pasowało na mnie, nałożyłem je.

Gdy przyszedłem do kuchni, kończyli w niej swoje śniadanie Pietieczka i Swietka. Siostra bardzo się zmieniła, zrobiła się z niej dama o nader bujnych kształtach. Miałem ochotę ją uściskać, ale uznałem, że będzie to nie na miejscu.

Nagle ogarnął mnie niepokój. Gdzież jest mama? Gdzie ojciec? Zorientowałem się, że w naszym trzypokojowym mieszkaniu mieszkają tylko dwie rodziny — Swietki i moja. Czyżby rodzice... Nie, to niemożliwe! Ale przecież nie mogę o to pytać!

Szybko zjadłem śniadanie, starając się stłumić ogarniający mnie niepokój i skarżąc na ból głowy. Swietka i Pietieczka pognali do pracy. Chwilowo nie mogłem się zorientować, do jakiej. O wiele bardziej jednak interesowało mnie moje własne miejsce w życiu. Dokąd mam iść?!

— Odprowadź Daszę do szkoły — poleciła mi Tatiana. — Poczekam na ciebie.

Wyszedłem z córką na ulicę i poprowadziłem ją do swojej szkoły, pomyślałem bowiem,

że Dasza uczy się właśnie w niej. Zgadłem. W szkole zauważyłem dwóch czy trzech znajomych nauczycieli, co prawda poważnie postarzałych. Kiedy wychodziłem z szatni, wpadłem na Ksenię Iwanowną.

— Witaj Sierioża! — ucieszyła się.

— Dzień dobry, Kseniu Iwanowna!

— Dawno cię nie widziałam? Co u naszych?

Jak Boga kocham, na pewno bardziej niż jej zależało mi na tej wiadomości.

— Pracują... — odparłem z westchnieniem.

— No, wpadnij kiedyś, pogadamy. Teraz nie mam czasu — poszła korytarzem, takim samym jak dawniej, lekkim krokiem.

Wróciłem do domu, choć nie miałem na to ochoty. Tatiana była już w pełnej gali i czekała na mnie. Otrzymałem precyzyjne polecenie — kupić po pracy kartofle i pomidory, wziąłem teczkę i wyszliśmy na ulicę.

Okazało się, że mamy samochód. Nieznany mi model „Żiguli”. Po co w takim razie Pietieczka proponował mi jakiś wózek? Ale zamiast odpowiedzi na to pytanie pojawił się następny problem. Zorientowałem się, że nie umiem prowadzić samochodu.

— Głowa mi pęka — powiedziałem dotykając czoła. — Może ty poprowadzisz? — zaproponowałem, wcale nie będąc pewnym, czy moja żona potrafi to robić.

Wzruszyła ramionami i siadła za kierownicą.

Westchnąłem z ulgą zajmując miejsce obok niej.

— Odwieź najpierw mnie — poprosiłem.

— A ja pójdę na piechotę?

— Nie, dziś samochód nie będzie mi potrzebny... — (W ogóle mi niepotrzebny, niech go diabli! — pomyślałem sobie na marginesie). — Przyjadę metrem.

— Jak sobie chcesz...

Odgrywała obrażoną. Pewnie dlatego, że wieczorem umknąłem z takim pośpiechem. Albo może za wasy. W porządku, to nie najważniejsze! Teraz trzeba pracować.

Żona zawiozła mnie do dużego, nowego budynku. Wchodzili doń ludzie. Jak na złość przy drzwiach nie było żadnej wywieszki. Poszperałem po kieszeniach i znalazłem przepustkę. Na niej, obok mojego zdjęcia było napisane, że mam stanowisko głównego specjalisty, mój wydział zaś nosi numer siedemnasty.

Mimo wszystko bardzo chciałem wiedzieć od czego jestem specjalistą, pomyślałem z jakąś złośliwą satysfakcją.

Cmoknąłem żonę w policzek, uznawszy, że będzie to wyglądać naturalnie i

wmieszałem się w tłum współpracowników. Słowo daję, czułem się o wiele gorzej niż Stirlitz w sztabie Bormanna. Na wszelki wypadek kłaniałem się wszystkim jak popadło. Wielu mi się odkłaniało.

Nigdy nie próbowaliście państwo szukać swojego miejsca pracy w instytucji, w której jesteście zatrudnieni? Mogę zapewnić, że jest to niezmiernie pasjonujące zajęcie. Szczególnie, gdy na drzwiach nie ma ani jednej tabliczki.

Kiedy z urzędową miną przewędrowałem już po jednakowych korytarzach kilka pięter, zorientowałem się, że metoda ta nie zdaje egzaminu. Jeszcze chwila i zaraz kogoś zapytam! — pomyślałem mściwie. Ale jakoś mnie to krępowało. Wszędzie coś domalowywali, przycinali, przykręcali.

Wszystko wskazywało na to, że nasza instytucja dopiero co się wprowadziła. Napatoczył się stolarz z drewnianą skrzynką, z której sterczały narzędzia.

— Proszę zajrzeć do siedemnastego wydziału — poleciłem beczelnie. — Lufcik się nie zamyka.

— Wiem — odburknął. — Przyjdzie kolej...

— Nie, proszę natychmiast. Wieje — byłem nieubłagany.

Popatrzył na mnie z niezadowoleniem, zawrócił i poszedł korytarzem z powrotem. Ruszyłem w ślad za nim.

Stolarz zaprowadził mnie do mojego wydziału, który znajdował się na pierwszym piętrze. W pokoju stało pięć biurtek. Przy czterech siedzieli współpracownicy — trzy kobiety i jeden młody, dwudziestotrzyletni mężczyzna. Przywitałem się.

— Dzień dobry, Siergieju Dmitriewiczu! Jest mi pan strasznie potrzebny! Musi mi pan niezwłocznie podpisać listy. Piotr Timofiejewicz już zaglądał, interesował się... — natychmiast zatrajkotała jedna z kobiet, najmłodsza.

Skinąłem głową i usiadłem za wolnym biurkiem. Stolarz, mrużąc pod nosem zajął się lufcikiem, który rzeczywiście się nie zamykał.

Współpracownica położyła przede mną listy napisane na maszynie i podpisałem się obok nazwiska, składając sobie w myśli gratulacje z okazji rozpoczęcia pracy zawodowej.

— Jakoś dziwnie się pan dzisiaj podpisuje... — zdziwiła się.

— Wszystko płynie, wszystko się zmienia... — zażartowałem, wspominając tęsknie mój dwudziesty wiek i beztrudne lata szkolne.

Do obiadu udało mi się dowiedzieć, że kierownik wydziału, Piotr Timofiejewicz siedzi w sąsiednim gabinecie, w tym zaś pokoju ja jestem szefem. Pod pozorem porządków dokładnie zbadałem swoje biurko i zorientowałem się, że nasz wydział zajmuje się czymś

związanym z eksportem silników elektrycznych. W teczkach leżały kontrakty, protokoły, umowy, mnóstwo listów. Na wielu z nich widniał mój podpis. Dowiedziałem się, jak wygląda i ukradkiem zacząłem go ćwiczyć. Przed obiadem przyniesiono mi jeszcze cztery listy i dwa kontrakty. Poprosiłem, by na telefony odpowiadali współpracownicy, znowu tłumacząc się bólem głowy.

Wszystko to było jednak drobiazgiem. Najważniejsze, że odnalazłem zegarek. Leżał w dolnej szufladzie biurka, pod stertą teczek i jego koperta była starannie zalutowana na całym obwodzie, tak, że nie sposób było ją otworzyć. Proszę, jaki się zrobiłem przewidujący, drań jeden — skłamałem w myśli sam siebie, to znaczy tego Siergieja Martyncowa, który przygotował mi te wszystkie niespodzianki.

W ogóle jakoś się sobie nie podobałem.

Popędzany przez wyrazy współczucia mych żałościwych współpracowników, przed obiadem wstąpiłem do kierownika i zwołałem się, skarżąc się na nieznośny ból głowy. Miałem straszną ochotę przedstawić mu się, i z trudem się przed tym powstrzymałem. Kierownik miał koło czterdziestki, był szalenie dystyngowany, zapięty na wszystkie guziki. Zresztą, ja również.

Wszyscy tu byli pozapinani, jak zauważyłem.

— Bardzo proszę, Siergieju Dmitriewiczu, niech pan idzie się leczyć. Jeżeli się pan rozchoruje, proszę poleżeć w domu. Tylko proszę pamiętać o przygotowaniu informacji na poniedziałek — powiedział mi kierownik.

— Dobrze — odparłem, ściskając zegarek w kieszeni.

Wybiegłem na ulicę jak na skrzydłach. Wolność! Miałem ochotę na lody i kino. Ciekawe, co wyświetlają w kinach w dwutysięcznym roku? A co jest w sklepach? Przypomniałem sobie jednak, że jestem obecnie człowiekiem obciążonym rodziną i skierowałem się do sklepu warzywnego. Były tam te same kartofle i pomidory, co w dwudziestym wieku. Cena zresztą również była taka sama — dziesięć kopiejek za kilogram kartofli.

Żałowałem teczkę warzywami i pospieszyłem do domu, żeby kontynuować moje badania. Dobrze byłoby znaleźć lutownicę, pomyślałem sobie.

Klucz znalazłem w kieszeni. Otworzyłem drzwi i szybko, jak złodziej przebiegłem mieszkanie. Miałem szczęście — nikogo niebyło w domu. A co z Daszką? — pomyślałem nagle. Lekcje w pierwszej klasie dawno już się skończyły. Może jest w świetlicy? Dziwne, że w ogóle o niej pomyślałem. Zobaczyłem ją dzisiaj po raz pierwszy. Z drugiej jednak strony, w końcu to córka. Gdybym opowiedział o tym Tolikowi i Marinie, padliby ze śmiechu!

Mnie jednak wcale nie chciało się śmiać. Zacząłem metodycznie badać mieszkanie, starając się uzyskać informację o drugiej połowie przeżytego przeze mnie życia.

Szybko zorientowałem się, że Swietka z mężem mieszkają w dawnym pokoju siostry, Tatiana i ja — w moim, nasze zaś dzieci w przedzielonym parawanem dawnym pokoju rodziców. Następnie przystąpiłem do szczegółowego zaznajamiania się z moim pokojem.

Od razu rzucił mi się w oczy magnetowid. Zauważyłem go już rano i ciągle miałem wątpliwości, czy mi się nie przywidział. Sprawdziłem — i rzeczywiście. Wideo, japońskie, rok produkcji 84 minionego wieku. A więc ojciec przywiózł go z Japonii wkrótce po moim skoku tutaj. Kaset znalazłem dość dużo.

Mojego starego magnetofonu nie było, za to kaset magnetofonowych leżało mnóstwo, a wśród nich również i stare, dobrze mi znane. Gitary były dwie — akustyczna i elektryczna. Ciekawe po co mi one? Czyżbym umiał grać?

Z dokumentów, które odnalazłem w szufladzie biurka wynikało, że moje małżeństwo z Tatianą zostało zawarte osiem lat temu. Jej panięskie nazwisko było Biessonowa. Znalazłem również kopię swojego dyplomu. Zawód — ekonomista. Cóż, ujdzie w tłoku. Przecież mogło się okazać, że jestem lekarzem. Trudniej byłoby się wykręcić, choć gdybym był rejonowym, to nic strasznego. Oni wszystkim zapisują zawsze to samo.

Z licznych pocztówek ojca dowiedziałem się, że papcio w tym czasie jeszcze trzykrotnie objechał całą kulę ziemską. Wcale mnie to nie zdziwiło.

Dane były skąpe, przyznacie państwo sami.

A najważniejsze, nie znalazłem nic o mamie.

Zacząłem przeglądać kasety wideo i tu miałem szczęście. Najwyraźniej mój sobowtór, albo poprzednik, albo nie wiem, jak go mam nazwać — jednym słowem, Martyncow, który mieszkał tu przede mną, lubił rejestrować na wideokasetach godne uwagi wydarzenia rodzinne. Na kasetach znajdowały się napisy ołówkiem: „Przyjście na świat Nikity”, „Pierwsze urodziny Nikity”, „Bał dyplomowy”, „Pójście do wojska”, „Ślub” i tak dalej. Jako ostatnia w tym rzędzie stała kasetka z napisem — „Dasza idzie do szkoły”. Była zarejestrowana przed trzema tygodniami.

Zacząłem od niej. Pół godziny zajęło mi opanowanie japońskiej techniki. I oto na ekranie pojawiła się Dasza z bukietem, obok niej Tatiana, a z drugiej strony — mama! Cóż za szczęście! Mama jest żywa i zdrowa, i wygląda prawie tak samo! Omal nie podskoczyłem z radości.

Szybko przejrzałem taśmę ze zwiększoną prędkością, dzięki czemu cała moja rodzina skakała i biegała po ekranie jak na filmach Chaplina, przy czym dwukrotnie mignąłem i ja

sam — jakiś idiotyczny, rozradowany nie wiedzieć czemu — a potem zabrałem się do następnych taśm.

Poznawałem swoją przeszłość w przyspieszonym tempie. Po ekranie biegali, obejmując się śmiesznie i pozując, ludzie wśród których od czasu do czasu odnajdowałem znajome twarze, piszczały ich głosy, odjeżdżały pociągi, startowały samoloty... Jakiś obcy człowiek z moją twarzą wprowadzał pannę młodą do Pałacu Ślubów, wynosił zawiniątko z noworodkiem z kliniki położniczej, otrzymywał świadectwo dojrzałości...

Pomyślałem nagle, że tego już w moim życiu nie będzie. Już przeskoczyłem.

Nagle poznałem siebie na scenie, z gitarą. Przełączyłem szybkość na normalną. Śpiewałem w czteroosobowym zespole na jakimś studenckim wieczorku. Piosenki nie znałem. Potem na scenę wyszedł konferansjer i powiedział:

— Zespół „Saldo” — Siergiej Martyncow, Władimir Riaskin, Robert Arutiunian, Gleb Starowski.

Znowu zaśpiewali. To znaczy — zaśpiewaliśmy. Piosenka była niezła, od serca. Spodobała mi się.

Wysłuchałem koncertu do końca. Taśma już się kończyła, kiedy nagie pojawiło się jakieś wesele — nie moje, ale jakieś inne, bo swoje przecież już przeleciałem. U nas wszystko było normalnie, jak u ludzi. Tu zaś bawiono się z przesadną pompą, we wspaniałej sali bankietowej... Widać wesele było nakręcone przed koncertem, a potem skasowane, dzięki czemu został sam koniec, z tańcami. Zobaczyłem siebie — byłem wesoły, próbowałem niezgrabnie tańczyć. Wreszcie kamera uchwyciła nowożeńców. Drgnąłem — to była Marina i Tolik.

Zakląłem najpaskudniej jak potrafiłem.

Taśma się skończyła.

Trzeba znaleźć lutownicę, rozlutować kopertę i wynosić się stąd, pomyślałem apatycznie. Ale dokąd? Teraz było już wszystko jedno — do przodu, czy wstecz.

Miałem ochotę zobaczyć mamę. Jak ją jednak znaleźć? Przekartkowałem wszystkie notesy. Telefonu mamy nie było. To naturalne, któż będzie zapisywał numer telefonu mamy! Przecież zna się go na pamięć.

Przybiegł ze szkoły Nikita. Był bez warkoczyków. Zresztą, natychmiast je zaplótł i przebrał się. Najwyraźniej miał chętkę gdzieś zwiąć.

— Nie pamiętasz telefonu babci? Wyleciał mi z głowy — powiedziałem.

— Nie, nie pamiętam — już był w drzwiach.

— Dziwne. Co, nie dzwonisz do niej?

— A po co? Nie chce zamieniać mieszkania. To przez nią gnieździć się tu jak śledzie w beczce!

— Czegoś nie rozumiem. Poczekajże! Jakie mieszkanie?

— Wujku Sierioża, chory jesteś, czy co? Babka nie chce zamienić mieszkania pradziadka. Nie chce się przenieść do kawalerki. Wredna!

Poleciał.

Natychmiast się ubrałem i ruszyłem do mieszkania dziadka.

Mama przywitała mnie jakoś obojętnie. Nawet się spieszyłem. Ciągłe mi się wydawało, że po szesnastoletnim niewidzeniu się wszyscy powinni rzucać mi się na szyję. A może widzieliśmy się z nią wczoraj?

Wkrótce wyjaśniło się, że nie widzieliśmy się wczoraj.

Rozmawiałem z nią tak jak wczoraj w kuchni, kiedy ostatni raz jedliśmy razem kolację — tam, w mojej młodości. Zdaje się, że ją to zdziwiło. Powoli zmieniała ton, jakby coś w niej tajało. Zaczęła się uśmiechać, ale jakoś nieśmiało, jakby jeszcze nie wierząc.

— Jesteś dziś nie taki jak zawsze... — powiedziała.

— Dlaczego?

— Rozmawiasz po ludzku.

A tymczasem rozmawialiśmy o prostych sprawach — jak zdrowie, o nauce Daszy... Posługiwałem się przy tym filmem wideo, o którym poprzednio wspomniałem. Musiałem trochę pofantazjować!

— Nie, jesteś dziś zupełnie inny — stwierdziła. — I wąsy zgoliłeś. Miałeś rację, zupełnie mi się nie podobały.

Nagle ująłem jej rękę, podniosłem do ust, pocałowałem.

— Pamiętasz, skaleczyłaś się w to miejsce? Już się zagoiło? — zapytałem. — Czyściłaś rybę, a potem siedzieliśmy w kuchni... I Nikita kopał Swietkę...

Mama rozplakała się.

— Boże, jak to było dawno. Doprawdy pamiętasz to wszystko?

Pocałowała mnie. Ogarnął mnie spokój, zrobiło mi się tak dobrze jak w dzieciństwie.

— Mamo, to było wczoraj...

— Tak, zupełnie jak wczoraj, masz rację...

— Mamo, to naprawdę było wczoraj.

I zacząłem opowiadać. Wszystko od początku. Matka słuchała mnie najpierw z niepokojem, ale po chwili jej twarz się rozpogodziła — uwierzyła.

— Tak, tak... Śmierć dziadka. Ja również wszystko liczę od niej. Bardzo wiele zaczęło się po niej zmieniać. Ty również gwałtownie stałeś się inny. Sądziłem, że wynika to z wieku przejściowego. Stałeś się bardziej zły i cyniczny. Z jakiegoś powodu byłeś obrażony na dziadka. Pewnego razu powiedziałeś w pasji, że dziadek cię oszukał.

Tak, to szalał w przeszłości mój sobowtór, mój brat, mój imiennik. Ja odleciałem, a on pozostał. Pozostał i doszedł do wniosku, że tym razem zegarek nie zadziałał. Sprężyna się rozkręciła. Zapewne próbował skakać znowu i znowu, ale ja zabrałem ze sobą biegun grawitacji, pozostawiając mu jedynie piękne opakowanie. W przestrzeni przeszłości pozostała jedynie dokładna kopia zegarka.

Nic dziwnego, że ze złości go zalutował. Dobrze, że nie wyrzucił. Nagle pomyślałem z przerażeniem, że mój sobowtór, którego pozostawiam w przeszłości, już nie może posługiwać się cudowną mocą zegarka, a więc traci on dla mnie swą wartość. I zarazem wyłącznie od niego zależy, gdzie odnajdę zegarek po swoim skoku w przyszłość. Dzisiaj znalazłem go w pracy, ale przecież mogłem go w ogóle nie odszukać. Mógł go na przykład zupełnie swobodnie sprzedać...

Na samą myśl o tym oblał mnie zimny pot.

Wciąż jeszcze czegoś nie rozumiałem w mechanizmie działania zegarka.

A mama, już rozmawiała ze mną tak, jakbyśmy się rzeczywiście nie widzieli szesnaście lat. Opowiadała mi moje życie, jak obserwowała je z boku, i wszystko to było o wiele bardziej prozaiczne niż te telewizyjne uroczystości, które pokazał mi magnetowid.

W dziesiątej klasie zapisałem się do wieczorowej szkoły muzycznej, a potem, już na wydziale ekonomicznofinansowym, zacząłem grać w zespole. Obecnie również w nim grywam „na potańcówkach”, jak się wyraziła. W tym samym składzie — już jako dorośli ludzie — pętamy się po okolicy i gramy w domach kultury i klubach na młodzieżowych wieczorkach. Płacą za to dobrze. Teraz rozumiem, za co kupiłem samochód, pomyślałem.

Gdy odbyłem służbę wojskową, załatwiłem sobie pracę w mojej firmie. Mama nie mogła mi dokładnie powiedzieć, jak się ta instytucja nazywa. „Elektromaszeks...” i jeszcze kilka fragmentów słów pozlepianych do kupy. Zresztą „załatwiłem sobie” nie jest zbyt precyzyjnym określeniem. Pracę załatwił mi ojciec.

Zgodnie z tym, co powiedziała mi mama, nie miałem żadnych życiowych problemów, poza jednym — mieszkaniem. Podobnie jak Swietka. Oboje z siostrą, a szczególnie Pietieczka, żądaliśmy zamiany dwóch dużych mieszkań — dziadka i naszego — na cztery małe. Ale matka się nie zgadzała.

— Poczekaj, dlaczego na cztery? — nie rozumiałem.

— Dwa dla was i dwa, dla mnie i ojca.

— Jak to?...

— Sieriożka, rozeszliśmy się z ojcem, kiedy miałeś pięć lat. Już od dawna jesteśmy sobie zupełnie obcy. Łączyły nas tylko dzieci, ale teraz już dorośliście...

„Ładne rzeczy...” — pomyślałem.

— To mieszkanie — matka popatrzyła na gabinet dziadka, gdzie wszystko pozostało na swoich miejscach — to jedyne, w czym utrwalona jest pamięć o naszej rodzinie. Szkoda, że wy i wasze dzieci nie rozumiecie tego.

Mama podeszła do biurka, otworzyła kluczykiem środkową szufladę i wyjęła z niej gruby zeszyt. Był to pamiętnik dziadka.

— Są tu pewne fragmenty adresowane do ciebie — mama podała mi zeszyt. — Wielu rzeczy nie rozumiałam, przecież nie wiedziałam o zegarku, dziadek zaś pisał tak, że niewtajemniczony nie mógł się niczego domyślić... Jeszcze ci go nie pokazywałam. To znaczy, tamtemu... Ale przecież on również jest moim synem! — zawołała nagle ze wzburzeniem. — Uważałam, że jest... jesteś... w ogóle, tego niegodny.

Wziąłem zeszyt i przekartkowałem go. Kartki były po obu stronach zapisane równym, drobnym pismem dziadka.

— Mamo, co ja mam robić?

— Żyć, Sierioża. Po prostu, żyć przyzwoicie. Przecież tak naprawdę jeszcze tego nie robiłeś. W żadnym z wariantów.

Uważała więc, że owe szesnaście lat, które moje opływające w dostatki drugie ja przeżyło na jej oczach, również nie były życiem?

Czym więc, w takim razie?

Tak spaskudzić własne życie! — pomyślałem z rozpaczą.

— Gdzie jest ojciec? — zapytałem.

— W Bryzanii... Ach przecież nie wiesz. To w Afryce. Nowe państwo. Kiedy przyjeżdża, mieszka tutaj, w sąsiednim pokoju.

Musiałem koniecznie natychmiast wszystko przemyśleć i przeczytać pamiętniki dziadka. Zapytałem, czy mogę przenocować w pokoju ojca. Zupełnie nie chciało mi się wracać do domu. Bałem się nawet wyobrazić sobie chwilę, w której znowu trzeba będzie włączyć pod koc.

— Uważaj, Tania może się rozgniewać — powiedziała mama, ale wyczułem, że jest zadowolona.

— Rozumiesz, ma... — zaczerwieniłem się aż po korzonki włosów, bo zupełnie nie

wiedziałem, jak mam jej o tym powiedzieć. — Ja nie potrafię... być mężem.

— A więc tak to wygląda — mama uśmiechnęła się. — A ja myślałam, że w czasie tych swoich skoków w czasie już się zdążyłeś nauczyć.

Zadzwoniłem do Tatiany i dość oschłym tonem zakomunikowałem, że mama źle się czuje, i że przenocuję u niej.

Z głosu żony zorientowałem się, że jest zupełnie skonsternowana moją decyzją. Najwidoczniej poprzednio nie odznaczałem się podobną wrażliwością.

Z przejęciem zagłębiłem się w lekturę pamiętnika dziadka. Odkrywałem jego życie, które poprzednio znałem jedynie we fragmentach. Czytałem łączywie, w nadziei że znajdę radę, albo chociaż sugestię, jak mam żyć dalej. W końcu dla kogo, jak nie dla mnie pisał dziadek? Analizowałem jego losy, wciąż pamiętając o tym, że w jego posiadaniu znajdował się cudowny przedmiot, że dysponował cudowną możliwością w zmiany każdej chwili biegu swego istnienia i wypróbowania nowego wariantu losu.

Wkrótce jednak poczułem rozczarowanie. Życie dziadka układało się tak, jakby nic od niego nie zależało. Od chwili ukończenia dziewiętnastu lat, toczyło się ono zgodnie z surowymi prawami marynarki wojennej i wyglądało na to, że brak możliwości wcale nie sprawiał mu przykrości. Wręcz przeciwnie, znajdował jakąś niezrozumiałą satysfakcję w wykonaniu rozkazów i poleceń.

Dziadek trafił do marynarki wojennej z komsomolskiego naboru, kiedy studiował na drugim roku wydziału biologii uniwersytetu. Wszystko więc wskazywało na to, że wcale nie miał zamiaru zostać marynarzem tylko biologiem, ale żadnego ubolewania z powodu tak nieoczekiwanej zmiany planów życiowych, na stronicach jego pamiętników, nie spotkałem.

Po ukończeniu szkoły marynarki wojennej dziadek został odkomenderowany na Daleką Północ. Tam dowodził trałowcem, potem niszczycielem. I wtedy właśnie wybuchła wojna.

Kolejne stronicie poświęcone były opisom codziennych wydarzeń służby w marynarce wojennej — rejsy, postoje, remonty, szkolenie młodych marynarzy, manewry, defilady... O życiu rodzinnym dziadek pisał skąpo. Zdanie poświęcone przyjściu na świat mojego ojca brzmiało następująco: *Syn Dymitr urodził się w czerwcu tysiąc dziewięćset czterdziestego pierwszego roku, kiedy to nie mogłem temu wydarzeniu udzielić należytej uwagi. Imię otrzymał na cześć dziadka.*

I dopiero tutaj, w opisie pierwszych dni wojny, znalazłem ukryte napomknienie o tym, że dziadek jednak posłużył się zegarkiem.

Cytuję:

Wojna rozpoczęła się dla wielu nieoczekiwanie, choć wszyscy przeczuwali, że się zbliża. Nie byłem wyjątkiem. Wydawało mi się, że mamy jakiś zapas czasu — może rok, albo dwa. W początku maja mój okręt znalazł się w remoncie w doku bazy. Pierwszego dnia wojny mieliśmy zdemontowany silnik i całkowicie rozebrane aparaty torpedowe. Gdybyśmy wiedzieli o wybuchu wojny miesiąc wcześniej, zdążylibyśmy ukończyć remont w trybie awaryjnym. Jednakże zdołałem odnaleźć sposób by godnie przygotować się do tej próby. Już następnego dnia okręt wyszedł w morze na patrol bojowy.

Jest rzeczą oczywistą, że nie sposób było w ciągu kilku godzin zainstalować na okręcie rozebrany silnik i odtworzyć uzbrojenie. Dziadek cofnął się o miesiąc, by lepiej przygotować się do wojny. Był to ów jedyny w życiu przypadek, o którym mi wspomniał.

Zresztą, o ile mi wiadomo, przez ów miesiąc nie uczynił nawet próby, by ewakuować rodzinę w bardziej bezpieczne miejsce niż wojskowe osiedle bazy, które już pierwszego dnia wojny zostało zbombardowane przez nieprzyjaciela.

Kiedy wojna się skończyła, dziadek był w stopniu kapitana pierwszej rangi, miał ordery Nachimowa i Czerwonego Sztandaru.

Następnie ukończył Akademię Sztabu Generalnego, dowodził dużymi zespołami okrętów wojennych, był wykładowcą, przeszedł w stan spoczynku, a ostatnimi laty wchodził w skład Rady Weteranów.

Droga życiowa dziadka wyglądała klarownie i logicznie, mimo że była podporządkowana żelaznej konsekwencji wojskowych regulaminów.

Nie można było powiedzieć, że nie popełniał w życiu błędów. Pisał o nich z bezlitosną szczerością, ale nigdzie w jego pamiętniku nie znalazłem nawet cienia aluzji, że próbował naprawić swój błąd przy pomocy posiadanego przezeń przedmiotu. Bardzo mnie to zdziwiło, a nawet zirytowało, bowiem świadczyło moim zdaniem albo o jego ograniczoności, w co niezbyt wierzyłem, albo o odkryciu przez niego jakiejś tajemnicy istnienia, do której nie zostałem dopuszczony.

Po owej autobiografii, która zajmowała większą część zeszytu, znajdowały się bardzo luźne, na pierwszy rzut oka uwagi, które były wynikiem obserwacji i rozważań.

Zamieszczam tu niektóre z nich.

Nieuchronność śmierci sprawia, że ludzie słabi stają się bierni, silnych zaś zmusza do pracy ze zdwojoną energią.

Jakbym żył, gdybym zaczął żyć od nowa? Wiele nad tym rozmyślałem, albowiem jak

każdy żywy człowiek miałem rozmaite zadatki, i za każdym razem nieuchronnie dochodziłem do wniosku, że przeżyłbym je dokładnie tak samo. A więc, jestem z niego zadowolony, czyż nie? Tak, ale tylko w tym sensie, że nie popełniłem w moim życiu niczego, co sprzeciwiałoby się mojemu sumieniu, to znaczy przeżyłem je godnie. Teraz, patrząc śmierci w oczy rozumiem, że poczucie godnie przeżytego życia stanowi jego główny i konieczny rezultat, przeżyte zaś trudności, niedostatki, błędy i niepowodzenia nadają jedynie tej godności niezbędną powagę.

„Jeżeli będziesz dwie sroki za ogon trzymać, żadnej nie utrzymasz...” głosi mądrość ludowa. Ukazuje ona w ten sposób, że rozsądnie jest trzymać jedną srokę. Ale czy warto? Życie, to nie łapanie srok.

Trzykrotnie znajdowałem się w wyjątkowo krytycznych sytuacjach — dwukrotnie na tonącym okręcie i raz, choć brzmi to dziwnie, stojąc na dywanie w pewnym gabinecie. Za każdym razem miałem czas na to, by zmienić sytuację na bardziej korzystną, ale ani razu nie wykorzystałem tej możliwości. Po co? Z losem należy walczyć uczciwie. Albo uczciwie go przewyciężyć, albo równie uczciwie umrzeć.

Do wnuka. Ludzie na szyi, w okolicy krtani mają gruczoł zwany grasicą. Po łacinie thymus. Osiąga ona największe rozmiary u osesków, zanika w starości. Uważa się, że działanie tego gruczołu ma jakiś wpływ na proces starzenia, w miarę upływu biologicznego czasokresu życia organizmu.

Gdyby śmierci nie było, należałoby ją wynaleźć.

Czy chciałbym ponownie stać się młodym? Może to dziwne, ale nie. Ludzie, którzy marzą o powrocie młodości, nie zdają sobie sprawy, że jej czar polega przede wszystkim na nowości wszelkich wrażeń, nie zaś w nadmiarze sił. Starość jest pojęciem nie energetycznym, lecz informacyjnym. Życie można rozpocząć od nowa tylko jako młody starzec.

Nieodzowność przeżytego życia nie określa się przez to, na ile twój los koresponduje z własnymi o nim wyobrażeniami, lecz przez to na ile koresponduje on z historycznym życiem narodu owych czasów, w których istniałeś.

Zamknąłem zeszyt.

To brzmiało jak wyrok.

Jednak dopadł mnie mój dziadek... Spod ziemi dopadł. Dosięgnął z porzuconej przeze mnie przestrzeni.

Wszystko to zrozumiał i wyliczył bez żadnych eksperymentów, na długo przed tym zanim zacząłem moje skoki i wygłupy. Ja natomiast jak ostatni dzikus, jak trzyletni dzidzius, bawiłem się błyszczącym cackiem i uważałem za wyjątkową jednostkę.

Mój los nie korespondował ani z moimi własnymi wyobrażeniami, ani z historycznym życiem narodu. Na tej równej płaszczyźnie nie widniała ani jedna rewolucja, ani jedna industrializacja, ani jedna wojna... Sądząc z opowiadań mamy i kadrów kaset wideo, przeżyłem moją maleńką egzystencję w niezbyt męczącej walce o dobrobyt, o najpełniejsze zaspokojenie moich wzrastających potrzeb. Prawie już wygrałem tę walkę, jeżeli nie liczyć sprawy mieszkania. A mam dopiero trzydzieści dwa lata. Cóż więc będę robił

Coś nie pozwalało mi uznać swojego życia za korespondujące z historycznym życiem narodu. Ale co?

Czyżby brak kataklizmów?

Nie, to absurd.

Brak wielkich celów i ideałów?

Dlaczego więc, na Boga, miał je dziadek? Skąd je czerpał? Skąd je również brał jego ojciec — zawodowy rewolucjonista i więzień polityczny? Czyżbym był do tego stopnia zepsuty i egoistyczny, że nie życzę memu narodowi szczęścia, a jedynie walczyć tylko o swoje — bezbłędne i wyprute z talentu jak budzik?

Ze złością odrzuciłem zeszyt. Byłem zły na dziadka. Dlaczego zachciało mu się mnie kusić? Przeżyłbym swoje spokojne życie jak należy, nie zastanawiając się nad jego sensem. A teraz muszę rozwiązywać równanie z wieloma niewiadomymi.

Wyciągnąłem z kieszeni notes i zacząłem go kartkować. Ogarnęła mnie ochota, by spotkać się z przyjaciółmi i sprawdzić, jak też oni przeżyli ten okres.

Notes mną wstrząsnął.

Był on ułożony zgodnie z zasadą funkcjonalności. Nazwisk w nim prawie nie było, znajdowały się jedynie imiona, rzadko — z patronimikami. Zamiast nazwisk widniały jedynie krótkie objaśnienia — do jakiej sfery usług zalicza się abonent. Rodzaj zajęcia i okazywanych przysług. Z jakiegoś powodu słowa te również były pisane dużą literą.

Kola Dzinsy, Marek Piotrowicz Kielbasa, Jelena Siergiejewna Zęby, Ałoczka Wieczne Pióro, Nadieżda Timofiejewna Bilety, Sasza Parasol, Mikołaj Części Zamienne.

Albo druga grupa — Misza Handel Zagraniczny, Gałoczka Ministerstwo, Siemion Trofimowicz Referent.

Znajdowali się tu i abonenci, których w żaden sposób nie mogłem rozszyfrować. Przede wszystkim kobiety. Wiera Adler, Lena Białe Noce, Lusienka Serdaczek, a nawet Elwira Hop ze smykiem.

Szczególnie wstrząsnął mną Iwan Iwanowicz Bubu. Uznałem, że jest to jakiś nieznanymi mi rodzaj usług, albo produkt, który pojawił się pod koniec dwudziestego wieku i nieoczekiwanie zadzwoniłem pod ten numer

Słuchawkę podniósł mężczyzna.

— Słucham.

— Iwan Iwanowicz.

— Owszem.

— Tu Sierioża...

— Hmm...

— Martyncow.

— Proszę wybaczyć, ale nie przypominam sobie. Czym, że się tak wyrażę, chata bogata? Z czego, że się tak wyrażę, mamy być radzi?

„Czym moja chata bogata?” — pomyślałem. „Eksportowymi silnikami elektrycznymi? Tańcami?... Chyba raczej tańcami”.

— Mamy zespół — powiedziałem.

— Ach tak, „Saldo”! Mówiłby pan od razu. Chwilowo nic nie ma.

— A kiedy będzie?

— W przyszłym kwartale. Proszę telefonować.

Odłożył słuchawkę. Bubu będzie w przyszłym kwartale, pomyślałem melancholijnie i wykręciłem numer telefonu Maksa. Znajdował się w notesie pod swoim prawdziwym nazwiskiem. Denerwowałem się. Jak przywita mnie stary przyjaciel?

Odezwał się kobiecy głos. Poznałem mamę Maksa.

— Dzień dobry, Olgo Wiktorowna. Tu Martyncow.

— Sierioża? — po chwilowej pauzie zapytała ze zdziwieniem.

— Maksym jest w domu?

— Tak... Zaraz go poproszę.

Dość długo nikt nie brał słuchawki. Potem rozległ się szelest i głos Maksa oznajmił sucho i wyraźnie:

— Mówiłem ci, żebyś nie dzwonił. Nie mamy o czym rozmawiać.

I natychmiast rozległ się sygnał.

Odłożyłem słuchawkę, rozebrałem się i położyłem spać na posłanym przez mamę

tapczanie ojca.

Długo nie mogłem zasnąć. Patrzyłem na fizyczną mapę świata, która w ciemnym pokoju jakby świeciła się na przeciwległej ścianie.

Obca... Obca przestrzeń... — powtarzałem w duchu, zdając sobie sprawę, że zostanę tu długo, być może na zawsze, bowiem po tym, o czym się tu dowiedziałem, nie mogłem sobie pozwolić na ucieczkę w lepsze czasy czy przestrzenie. Musiałem żyć właśnie tu i starać się w miarę możliwości naprawiać błędy poprzednika.

Byłem gotów go zabić, to znaczy zabić samego siebie, tego który w ciągu tych szesnastu lat zaprzepścił przyjaciół, wzniosłe dążenia i ideały młodości. Wydało mi się, że takie dyskretne przeniesienie się w inną przestrzeń byłoby podłością w stosunku do Siergieja Martyncowa, który rozmienił się tu na drobne i zmieszczaniał. W końcu w pewnym stopniu odpowiadałem za niego, był przecież moim drugim ja. Postanowiłem mu pomóc.

Rankiem wyruszyłem do pracy z niezłomnym zamiarem rozpoczęcia nowego życia. Tym razem bez pomocy zegarka, z własnej inicjatywy.

Popracowałem do obiadu, przekonując się ponownie, że moja praca wcale nie przekracza możliwości człowieka z niepełnym średnim wykształceniem, jakie w rzeczy samej posiadałem. Nawet przyjąłem jakąś delegację i nader sensownie zawarłem kontrakt na dostawę przyrządów elektrycznych do jakiejś republiki, która pojawiła się na mapie na granicy wieków.

Po obiedzie poszedłem do kierownika wydziału i położyłem mu na biurku podanie o zwolnienie z pracy.

— Nie rozumiem pana, Siergieju Dmitriewiczu — przeczytał podanie i spojrzał na mnie. — Czy coś się panu nie podoba?

— Owszem.

— Co takiego? Pensja? Godziny pracy? Stosunki?

— Ja sam — odpowiedziałem.

— Nie rozumiem?

— Sam się sobie nie podobam.

Pomyślał chwilę i odłożył podanie.

— Przecież mam prawo, nieprawdaż? — powiedziałem.

— Prawo — prawem, obowiązki zaś — obowiązkami. Niech pan pomyśli — oznajmił, dając mi do zrozumienia, że rozmowa skończona.

Następnego dnia podniesiono mi pobory, kierownik natomiast wyjaśnił mi w rozmowie,

że moje odejście byłoby obecnie wyjątkowo nie na czasie, bowiem instytucja niedawno przeszła reorganizację, przeprowadzkę i w związku z tym nie należy mnożyć trudności organizacyjnych.

Dalej podpisywałem więc papiery i przyjmowałem delegacje.

Próba rozpoczęcia nowego życia osobistego również zakończyła się całkowitą klęską. Po pierwsze musiałem na początek jednak zostać mężem Tatiany. Może to dziwne, ale moja żona nagle zmieniła swój stosunek do mnie, stała się czuła, miła i nawet ładna, niech to licho! Zaczęła mi się bardziej podobać. A sama po prostu zakochała się we mnie z kretesem.

Rozpocząć po czymś takim rozmowę o rozwodzie byłoby po prostu głupio? Dlaczego? Na jakiej podstawie?

Po drugie, Daszka. Nieomal z przerażeniem zacząłem dostrzegać, że z każdym dniem ta nieznajoma, ale sympatyczna dziewczuszka zapada mi w duszę i zajmuje w niej coraz więcej miejsca. Pozbawiony w dzieciństwie ojcowskiej troski, czy nawet zwykłego kontaktu z ojcem, teraz jakbym naprawiał jego błąd, poświęcając córce cały wolny czas. To również nie mogło pozostać bez wpływu na umocnienie rodzinnego życia, które miałem zamiar zniszczyć.

W gruncie rzeczy udało mi się rozpocząć nowe życie tylko w jednym przypadku — przestałem być członkiem zespołu „Saldo”, bowiem nie umiałem grać na gitarze, a było to tam niezbędne. Musiałem przebrnąć przez nieprzyjemną rozmowę z kolegami i nawet zapłacić im odszkodowanie za zaplanowane koncerty.

Oczywiście, w życiu rodzinnym nie mogło to przejść bez echa. Utrata solidnego dodatku do pensji oraz odszkodowanie znowu zraziły do mnie żonę, z czego, mówiąc szczerze, byłem zadowolony. Jej czułości zaczęły mnie już drażnić.

Krótko mówiąc, efekty były mizerne. Siergiej Martyncow wszelkimi sposobami opierał się moim próbom wtrącenia się w jego życie. Urządził je sobie nader trwale, organizując solidną obronę okrężną.

Kiedy zrozumiałem, że tak na hurra, z marszu nic nie zwojuję, postanowiłem zmieniać swoje życie na lepsze powoli. Najpierw trzeba było odzyskać dawnych przyjaciół. Sytuację komplikował fakt, że niezbyt dokładnie wiedziałem, z jakiego powodu się rozstaliśmy. Jeżeli chodzi o Tolika i Marinę, to mniej więcej mogłem się domyślić. Najprawdopodobniej ciężko mi było podtrzymywać kontakty z byłym przyjacielem i jego żoną, która kiedyś była moją pierwszą miłością. Ale co zniszczyło moją przyjaźń z Maksem?

Zebrałem całą odwagę i pojechałem do niego. W ciągu tych kilku tygodni, które minęły od mojego skoku ani Maks, ani Tolik, ani Marina nie zadzwonili do mnie ani razu.

Maksym otworzył mi drzwi. Był w rozpiętej, starej koszuli i trykotowych spodniach od dresu. Gdy tylko spojrzałem na niego, zrozumiałem, że mój przyjaciel bardzo się zmienił. Patrzył na mnie nie wesoły, pewny siebie człowiek, uznany przywódca i wybraniec losu, lecz nerwowy, podejrzany osobnik o rozczochranych włosach i wyglądzie skończonego nieudacznika.

— Przyszedłeś? — zapytał wyzywająco.

— Przyszedłem. Wpuścisz? — zapytałem jak można najprzyjaźniej.

Wzruszył ramionami.

— Wchodź.

Wszedłem do mieszkania, w którym nie raz bywałem w młodości. Było zaniedbane. Dawny przytulny dom zmienił się w składowisko, w którym bez żadnej myśli porozrzucane były meble i części ubrania. Pośrodku korytarza leżała sflaczała piłka futbolowa, pomarszczona jak suszona śliwka. Z gołej żarówki zwisała srebrzysta lameta, która pozostała najwidoczniej z ubiegłorocznego sylwestra. Na zakurzonej lustrze widniał zrobiony palcem napis: *Poszedłem do kina*.

W pokoju było nie lepiej.

Usiadłem na zapadniętym tapczanie, tonąc w nim prawie do podłogi i przy tej okazji z jękiem wbiła się we mnie stalowa sprężyna. Maksym usiadł okrakiem na krześle i złożył ręce na oparciu. Wyczułem, że od dawna pragnął tej wizyty, ale chce zachować godność.

Rozmowa była trudna. Prowadziłem ją po omacku, poruszając się jak po ciemnym pokoju, w którym kiedyś bywałem, ale już dawno zapomniałem rozstawienia mebli. Stopniowo, z trudem, zaczął się kształtować obraz życia Maksyma od chwili, kiedy rozeszły się nasze czasy.

Wszystko zaczęło się w to nieszczęsne lato, kiedy my pojechaliśmy na obóz młodzieżowy, on zaś wyjechał w Karpaty na wczasy turystyczne. Przed odjazdem, Marina i on przeprowadzili poważną rozmowę, tak poważną, jak jest to możliwe w wieku szesnastu lat.

Zresztą, prawdę mówiąc właśnie kiedy ma się szesnaście lat rozmowa taka może być najpoważniejsza i w gruncie rzeczy określić dalsze losy.

Po powrocie spostrzegłem, że zaszły wielkie zmiany. Okazało się, że po tym jak Marina wlepiła mi policzek, Tolikowi udało się jakimś cudem zdobyć jej względy. Okazało się, że na początku ostatniego roku szkolnego pobiliśmy się z Maksem w klasie. Korzyści z tego znowu wyciągnął Tolik. Potem właściwie pogodziliśmy się, ale jakaś rysa pozostała. Na domiar złego Maksyma spotkały kolejne niepowodzenia, do których był zupełnie nieprzygotowany.

Zupełnie nieoczekiwanie nie udało mu się dostać na uniwersytet, na wydział filologiczny. Był to dla Maksyma straszny cios. Przyzwyczał się do tego, że jest szczęściarzem, przyzwyczał się brać bez namysłu to, na co ma ochotę, zupełnie jakby miał do tego całkowite prawo. Okazało się, że takie prawo nie jest bezterminowe, że termin istnieje i kończy się w momencie zakończenia balu maturalnego. Potem wszystko zaczęło Maksowi przychodzić z trudem, do którego nie był przyzwyczajony.

Został powołany do wojska, a kiedy wrócił, Marina była już mężatką, ja kończyłem wyższą szkołę ekonomiczną, on zaś musiał wszystko zaczynać od początku. Z lidera przekształcił się w outsidera. Znowu zabrakło mu punktów, by dostać się na filologię i właśnie w tym samym czasie umarł mu ojciec...

Odtwarzałem biografię Maksa na podstawie domysłów, niedomówień i aluzji. Stopniowo moja pokora i pragnienie wskrzeszenia naszej przyjaźni pomogły mu rozluźnić się psychicznie. Nasza rozmowa w coraz większym stopniu zaczynała przypominać jego spowiedź.

— Złamała mnie, rozumiesz? Nigdy bym nie pomyślał... Ale jak później zrozumiałem, nie to było najważniejsze, że rozstaliśmy się. Najważniejsze, że wybrała właśnie Tolika! — mówił Maks z goryczą pochylając krzesło do przodu tak, że stało tylko na dwóch nogach. — To mnie najgorzej podłamało! Żeby chociaż ciebie!

— Dziękuję — uśmiechnąłem się.

— Co — dziękuję? Może uważasz, że ty i Tolik mogliście być dla mnie jakąś konkurencją? Obiektywnie, co? Szczególnie on. Był złobem i złobem pozostanie. Ale jak ona mogła?

Również nie rozumiałem, jak ona mogła, ale mniej wiedziałem.

Po niespodziewanej śmierci ojca zawalił się cały dom, matka zachorowała, Maks pielęgnował ją, a życie toczyło się dalej. Jego starzy przyjaciele, to znaczy my, coraz dalej uciekali od niego, zakładali rodziny, rodzili dzieci, dostawali mieszkania i stanowiska. Maks utracił wiarę w siebie, zaufanie do kobiet, stał się nieufny i nadmiernie ambitny.

Ostatecznie zerwaliśmy z sobą, o ile dobrze zrozumiałem, jakiś rok temu, kiedy zaproponowałem mu nowe miejsce pracy, bardzo atrakcyjne, które mogłem mu załatwić po protekcji. Maks wyczuł nutę protekcyjności, eksplodował, nagadał mi kupę złośliwości i obraził się na zawsze.

Nagle zrozumiałem, że swój udział w okaleczeniu tego losu miał zegarek dziadka. Łańcuszek ciągnął się z młodości, biorąc początek w moim pełnym pychy pragnieniu wypróbowania wariantów życia.

Tymczasem okres zakochania u mojej żony, wywołany, jak sędzę moją młodzieńczą bezpośredniością, dobiegł końca. A w dodatku moje dochody poważnie się zmniejszyły...

Mijały dni, płynęły tygodnie i coraz bardziej się przekonywałem, że żyję z absolutnie obcą mi kobietą, która w dodatku jest niezadowolona ze zmian, jakim uległem. Nudziłem się w kręgu wspólnych znajomych, uważałem ich rozmowy za głupie lub sklepikarskie, przestałem uganiać się za rzeczami, na co dawniej poświęcałem wiele czasu, zacząłem się opuszczać, jak powiedziała.

Tatiana oznajmiła, że poszedłem śladami Maksyma.

Mój przyjaciel pracował jako tłumacz literatury technicznej, miał skromną pensję i zupełnie nie zwracał uwagi na swój wygląd. Wolny czas poświęcał na badania literatury starohiszcpańskiej. Na jego biurku stała czarna, metalowa figurka Don Kichota.

Po tym jak się pogodziliśmy, zaczął u nas bywać, czym dodatkowo wywołał niezadowolenie żony. Wspominaliśmy młodość, zgodnie z milczącą umową pomijając osoby Mariny i Tolika. Wiedziałem już, że mają dwoje dzieci. Marina pracuje jako projektantka mody, Tolik zaś kręci się wokół spraw administracyjnych.

Bardzo prędko moje życie rodzinne zaczęło przypominać piekło.

Zazwyczaj wracałem do domu około szóstej, po pomyślnym opracowaniu kolejnego kontraktu sprzedaży partii wentylatorów albo froterek. Do tej pory wszyscy byli już w komplecie. Wchodziłem do własnego mieszkania jak do ogrodu zoologicznego, w którym zwierzęta trzyma się na wolności.

Zupełnie nie miałem gdzie się ukryć. Tylko jedno ufne zwierzątko domowe — moja Daszka — podchodziła, by mnie polizać. Pozostali byli dzikimi bestiami. Ciągłe próbowali mnie ugryźć.

Moja siostra została w czasie tych lat zastępcą dyrektora do spraw produkcyjnych w pewnym instytucie naukowowdrożeniowym, który produkował roboty przemysłowe. Nie podejrzewałem, że ma tyle zawodowych zalet. Często mówiła o planie, premiach, wdrożeniach, sieciowym programowaniu i stymulacji. Moja żona pogardzała nią z tego powodu. Sama była kobietą światową i nie obce jej były skłonności artystyczne. Wśród jej znajomych trafiali się reżyserzy, malarze i literaci.

Pietieczka, jak mi się wydaje nigdzie nie pracował, ale działał z szaloną energią w dziedzinie kupnasprzedaży odzieży, mebli i w ogóle najrozmaitszych rzeczy, w czym również sam uczestniczyłem, to znaczy uczestniczył mój poprzednik w tej rodzinie. Z Pietieczką i jego sprawami zerwałem szybko i zdecydowanie, co prawda, wywołując niewielki ogólnorodzinny

skandal.

W tajemnicy popierał mnie Nikita, który ojca miał za psi pazur i interesował się tylko filmami wideo i dziewczynami z aerobiku.

W ogóle aerobik kwitnął. Jego miłośników i miłośniczki można było spotkać wszędzie — na ulicy, w sklepach, w trolejbusach. Z maleńkimi magnetofonami na szyjach i stereosłuchawkami na uszach bezdźwięcznie podrygiwali jak marionetki, niekiedy w najbardziej ożywionym miejscu. Istniały zespołowe systemy aerobiku, kiedy od jednego magnetofonu przeciągnięty był sznur z wieloma parami słuchawek. Ci, którzy mieli na to ochotę mogli je nałożyć i podrygiwali jak podłączeni do prądu w jednym rytmie, powiązani jedną nitką.

Było to uważane za formę więzi międzyludzkiej.

Ja natomiast utrzymywałem kontakty z Daszką. W wolne dni szliśmy na Wyspy i tam spacerowaliśmy wśród względnej ciszy i spokoju.

— Tato, opowiedz o starożytności — prosiła.

Starożytnością była dla niej połowa ubiegłego wieku. Opowiadałem jej o wojnie, pomagając sobie pamiętnikiem dziadka, a potem przechodziłem do czasów, które sam pamiętałem.

Dawno już bym stąd „odleciał”, gdybym mógł zabrać ze sobą Daszkę. A mówiąc między nami rozlutowałem jednak kopertę zegarka i znowu zawiesiłem go na szyi.

Zapytacie mnie państwo, jaka była sytuacja międzynarodowa w tych czasach, do których trafiłem? Sytuacja była skomplikowana.

Zapytacie się, jak się ubierano i jak się odżywiano w tych niezbyt odległych czasach? Ubierano się bardziej różnorodnie, odżywiano zaś bardziej jednostajnie.

Należy stwierdzić, że nad podziw szybko adaptowałem się w nowym wieku. Zewnętrzne nowinki mnie nie interesowały. Przyglądałem się moim postarzałym rówieśnikom, próbując razem z nimi znaleźć odpowiedź na to samo pytanie — po co żyję? Nie wiem, być może posiadanie zegarka i nadmiar wariantów powodowały, że pytanie to było dla mnie bardziej istotne. Nagle jednak zrozumiałem, że wiem, jak nie chcę żyć, i zupełnie się nie orientuję — jak chcę.

Nie chciałem żyć bez celu, biernie, chciałem gdzieś dążyć, kroczyć w pełni uświadomioną drogą. Chciałem mieć to uczucie godnie przeżytego życia, o którym pisał dziadek.

Mijały jednak miesiące, ale nic się nie zmieniało. Trudno przecież uznać za zmiany to,

że przeprowadziliśmy się do mamy, do mieszkania dziadka, pozostawiając Swietkę i Pietieczkę w naszym? Teraz przewaga w walce o mnie samego była po mojej stronie, bowiem Tatiana okazała się osamotniona w obliczu zasad życiowych, których broniła mama i ja.

Zasadniczo, były to zasady dziadka.

Zaczyznałem się już godzić z faktem, że będę musiał i w przyszłości żyć z Tatianą, kiedy to pewnego pięknego dnia moja żona odeszła ode mnie zabierając z sobą Daszkę.

Nie, nie „odleciała” do innej przestrzeni. Przeprowadziła się na sąsiednią ulicę, do operatora filmów popularnonaukowych, który w owym czasie realizował film o czasie i przestrzeni.

Jak Boga kocham, mógłbym opowiedzieć żonie o jednym i o drugim o wiele więcej niż jakikolwiek operator.

Życie całkowicie wstrzymało swój bieg.

Mama otrzymywała emeryturę, a ja pensję, która od emerytury różniła się tylko wysokością. Niedzielami przychodziła Dasza. Była uprzejma. Dwa razy w tygodniu przychodził wieczorem Maks. Graliśmy w szachy.

Chodziłem na mecze hokejowe i piłki nożnej.

Zasady obu tych gier nie uległy w dwudziestym pierwszym wieku żadnym zmianom.

Ale zegareczek! Co za zegareczek! — zachwyciałem się w myśli zegarkiem, od czasu do czasu wyciągając go spod kamizelki.

Nosiłem kamizelkę.

Wreszcie wrócił z Afryki ojciec. Spotkaliśmy się jak obcy sobie ludzie. Był niezadowolony ze zmian jakie zaszły w moim życiu rodzinnym, jak również i tym, że mieszkam obecnie przez ścianę. I w taki właśnie sposób egzystowaliśmy w różnych pokojach jednego mieszkania, troje odseparowanych od siebie, kiedyś bliskich sobie ludzi — matka, ojciec i syn.

Przeleciał rok. Nic się nie działo. Ojciec wyjechał do Szwajcarii. Sprzedawałem pompy do Algieru. Matka chodziła do opery.

Rezultat naszych pojedynków z Maksem wynosił 957:944. Prowadził Maks.

I wtedy właśnie skoczyłem jak w szyb klatki schodowej jeszcze piętnaście lat dalej od narodzenia Chrystusa.

Stało się to tak. Coś we mnie dojrzewało i nagle, w jakimś momencie pękło. Pamiętam, że kiedy ujmowałem główkę pokręta w zegarku, było mi dokładnie obojętne, w którą stronę przesunę kalendarz. Z tyłu już byłem, z przodu jeszcze nie. „Poleciałem” do przodu.

Pocieszyłem się myślą, że ów Siergiej Martyncow, którego pozostawiam tu zamiast siebie, nie będzie już kanciarzem i kombinatorem, lecz pozostanie, miałem nadzieję, porządnym choć może, nieco nudnym kawalerem ciągnącym do emerytury.

Postanowiłem skrócić tę drogę w przekonaniu, że opuszczenie piętnastu lat takiego życia, to to samo, co opuszczenie wykładu o ewolucji bezkręgowców. Nikt tego nie zauważy — ani ja, ani wykładowca, ani otoczenie.

Po tym, jak wykonałem operację z zegarkiem, znalazłem się w samochodzie, który wiozł mnie po mieście. Miałem na sobie porządną garnitur i kapelusz. Obok na siedzeniu leżała teczka.

Z przodu, obok szofera, siedział młody człowiek, który zwracał się do mnie z szacunkiem. Potem dowiedziałem się, że to mój referent.

W tej przestrzeni wszystko okazało się bardziej proste niż w poprzedniej. Nawet nie musiałem mówić. Robił to za mnie referent. Zachowywał się jak rybapilot przy rekinie — to podbiegał do przodu, otwierał drzwi i komuś przedstawiał, to nagle okazywał się obok mnie, gotów wypełnić wszelkie polecenia, to cofał się i pozostawał w cieniu, jakby podkreślając w ten sposób, że spełnia jedynie służebną rolę.

Okazałem się więc dyrektorem jakiegoś zjednoczenia i przez jakiś czas kierowałem nim na oślep, zdając się całkowicie na referenta. Często musiałem zasiadać w prezydiach i wygłaszać mowy. Piechotą już nie chodziłem i pewnie dlatego zauważyłem, że mam solidny brzuszek i łysinę na czubku głowy.

W życiu osobistym również zaszły zmiany. Po pierwsze moją żoną znowu okazała się Tatiana. Po drugie, Dasza nie mieszkała z nami, ale znajdowała się nie wiadomo czemu w Tiumeni, gdzie pracowała i mieszkała w internacie. Wyjaśniło się potem, że odeszła z domu, kiedy miała siedemnaście lat, zaraz po ukończeniu szkoły. Oboje z Tatianą mieliśmy wspólnie trzypokojowe mieszkanie.

Matka i ojciec byli już zupełnymi staruszkami, mieszkali w tym samym miejscu, w mieszkaniu dziadka i wszystko wskazywało na to, że znowu się zeszli, a w każdym razie prowadzili wspólne gospodarstwo.

Odtwarzając brakujące ogniwa życia tego człowieka, który okazał się dyrektorem zjednoczenia zrozumiałem, że moja próba dokonania zmiany losu w samym jego środku skończyła się fiaskiem. Najprawdopodobniej wolałem iść utartą drogą, która doprowadziła

mnie do tego stanu, w jakim obecnie się znajdowałem. Wykaraskać się z tej sytuacji było już o wiele trudniej.

Początkowo postanowiłem stać się oryginalnym i zacząłem chodzić do pracy pieszo. Albo jeździć autobusem. Próbowałem również wygłaszać na zebraniach mowy, nie zwracając uwagi na tekst referenta. Obiady jadałem obecnie w stołówce, stojąc z tacą w ogólnej kolejce, zabroniłem Tatianie korzystać ze służbowego samochodu i przyjmowałem pracowników w ich sprawach prywatnych o każdej porze, nie zaś we wtorek od czwartej do piątej.

Jednak przynosiło to niewiele realnego pożytku. Końcowe wyniki owego wariantu losu tak dalece odbiegły od moich młodzieńczych marzeń, że żadne drobne poprawki nie mogły już pomóc. Opuściłem ręce i praktycznie odsunąłem się od zajęć. Skończyło się to tak, że zwolniono mnie ze stanowiska i zrobiono kierownikiem Pałacu Ślubów. Zrozumiałem, że jest to już moja przedemerytalna posada.

Wziąłem urlop i spróbowałem odszukać Maksyma, ale ten jakby w wodę przepadł. Mama powiedziała, że sześć lat temu Maksym pochował matkę i pojechał na Daleki Wschód. Listów od niego w tej przestrzeni nie znalazłem.

Tatiana znowu zaczęła pakować rzeczy i ze łzami w oczach czyniła mi wyrzuty, że zламаłem jej życie. Było to wystarczająco nudne. Kupiłem bilet i poleciałem do Daszy do Tiumeni.

Zapomniałem powiedzieć o zegarku. Przez wszystkie te lata znajdował się u mamy, w tym samym biurku dziadka. Odlatując do Tiumeni, wziąłem go ze sobą.

W Tiumeni zatrzymałem się w hotelu, a wieczorem poszedłem do internatu. Był to zwyczajny dom z mieszkańcami. W każdym, zajmując osobne pokoje, mieszkali młodzi specjaliści. Dasza ukończyła wydział petrochemiczny i pracowała tu zgodnie z przydziałem.

Obawiałem się, że córka mnie nie pozna. Minęło sześć lat od chwili, kiedy od nas odeszła i od tej pory widywaliśmy się bardzo rzadko, jeśli wierzyć mojej żonie.

Otworzyła mi maleńka, sympatyczna dziewczuszka o jędrnych, smagłych policzkach i skośnych oczach. Z wyglądu Tatarka. Uśmiechnęła się do mnie uprzejmie i zastukała do drzwi mojej córki.

— Dasza, do ciebie...

Na progu stanęła Dasza — młoda, piękna, z grubym, złotym warkoczem przerzuconym przez ramię. Zaparło mi dech. Jak gorącym powietrzem owiało mnie moją nieprzeżyłą młodością i dlatego poczułem jak łzy napłynęły mi do oczu. Płakałem z żalu nad sobą, dlatego, że nigdy już nie doświadczę po raz pierwszy kuszącej tajemnicy nadchodzącego

życia, przecucia miłości i strat...

— Tato... — powiedziała.

— Nie jestem już dyrektorem zjednoczenia — spróbowałem się uśmiechnąć, ale łzy zaćmiły mi wzrok. W obawie, że padną na ziemię, podszedłem i objąłem ją. Łzy szybko spłynęły po policzku pozostawiając za sobą palący ślad i spadły na jej ramię.

— Pamiętasz tego psa? — mówiła siedząc na tapczanie z podkulonymi nogami i rozczesując w zamyśleniu warkocz.

Pamiętałem. Widziałem go zupełnie niedawno, w tej przestrzeni, z której przybyłem, na Wyspie Kamiennej, koło powalonej lipy.

Pies przychodził w to miejsce każdej niedzieli, kiedy Tatiana pozwalała mi pospacerować z Daszą. Był to bezdomny kundel nieokreślonej maści, który witał nas machając ogonem — zawsze w tym samym miejscu i o tej samej porze. Przynosiliśmy ze sobą jego miskę, a w paczce — jedzenie, siadaliśmy na powalonym drzewie i obserwowaliśmy jak pies je. Wylizywał miskę i z wdzięcznością patrzył na nas. Potem spacerowaliśmy po brzegu patrząc jak lekkie łódeczki i kanoe ślizgają się po powierzchni Newki.

Nie wiem dlaczego, ale za każdym razem, gdy na moście odwracałem się, by pomachać psu na pożegnanie, czułem się tak samo bezdomny jak on.

Wciąż wracaliśmy z Daszą pamięcią do tego roku, kiedy skoczyłem do nich z mojej młodości i poznałem swoją rodzinę. Ja po prostu nie miałem innych wspomnień, ale dziwne, że nie posiadała ich również Dasza. Wczesnego dzieciństwa w ogóle nie pamiętała, tego zaś co się zdarzyło po moim powrocie „na słuszną drogę”, jak to określała Tatiana, wspominać nie chciała. Formalnie rodzina złączyła się na nowo, popularnonaukowy operator przepadł bez śladu, ale córkę utraciłem.

Teraz, w tiumeńskim internacie, w kraju ropy naftowej i gazu, o których wiedziałem tylko ze słyszenia, ponownie odzyskiwałem jej zaufanie.

Kilka wieczorów z rzędu spędziłem w internacie młodych specjalistów na rozmowach, picciu herbaty i śpiewaniu pieśni przy akompaniamencie gitary. Moda na głośną muzykę i aerobik dawno już minęła, piosenki stały się bardziej ciepłe i ludzkie. Oczywiście, podkradałem dzieciom młodość, której sam nie przeżyłem i dlatego było mi trochę wstyd.

Prawie zakochałem się w przyjaciółce Daszy, Alifizji, w jej maleńkim nosku i prostej grzywce. Już poważnie zastanawiałem się nad tym, w jaki sposób mógłbym pozostać tu, na

Syberii i choć ostatnią część życia, przeżyć jak wszyscy normalni ludzie.

Piątego dnia przyszedł telegram od matki: *Umarł ojciec.*

W salonie mieszkania dziadka jeszcze kończyła się stypa, jeszcze snuły się w powietrzu zagmatwane wspomnienia weteranów, kiedy razem z mamą i Daszą przeszliśmy do gabinetu ojca, zastanawiając się co mam robić dalej.

Dasza przyleciała ze mną z Tiumeni. W samolocie opowiedziałem jej historię zegarka.

— Dziwne... — powiedziała w zamyśleniu. — Wygląda na to, że jesteś mi obcy. Ja zaś pamiętałam cię takim, jaki byłeś kiedy chodziłam do pierwszej klasy i przez wszystkie te lata myślałam, że to byłeś prawdziwy ty. Okazuje się, że przyleciałeś na krótko...

— Słusznie myślałaś. To byłem prawdziwy ja. Pozostali się nie liczą — odrzekłem.

— Z pozostałymi mieszkalam — zaoponowała. — Ty natomiast zjawileś się jak świąteczny dzień. Tak samo młody i bezpośredni.

Dasza siedziała w ulubionym fotelu dziadka i bawiła się zegarkiem. Znowu nic nie ważył. Przyklejona kiedyś pięciokopiejkówka przepadła gdzieś w czasoprzestrzeni. Dasza puszczała zegarek i leciutko dmuchała na niego, on zaś płynął w powietrzu jak bańka mydlana.

— Jak wszystko szybko minęło — westchnęła mama. — Ale nie to jest przykre. Najważniejsze, że się nie udało. Nie udało się...

— Przesadzasz — powiedziałem. — Twoje życie było uporządkowane, sam bym chciał takie. Co się nie udało?

— Rodzina się nie udała, Sierioża. Wszyscy jesteśmy osobno. To jest przyczyną wszystkich nieszczęść.

— Weź go i zacznij od początku — wskazałem zegarek.

— Nie, już nie zdołam — mama pokręciła głową. — Znowu spotykać się z ojcem, kiedy pamiętam tę stypę... Nie, nie!

— Możesz spotkać kogoś innego, a ojcu dać kosza — nalegałem z uporem, który osłaniał moje bezpłodne próby zrozumienia czegokolwiek w życiu.

— Nie. To byłaby zdrada — odparła cicho mama.

— Ale dlaczego? Dlaczego?! — nie wytrzymałem. — Przeżyliście osobno prawie całe życie. Nie dopasowaliście się — nie wiem pod jakim względem! Po co powtarzać eksperyment od początku?

— Po pierwsze, nie mam zamiaru niczego powtarzać — oznajmiła zimnym tonem mama. — Po drugie, kochaliśmy się. Rozumiesz? Naprawdę. Ale rodzina się nie udała. Bywa

i tak. Nie mam prawa szukać swojego nowego szczęścia bez niego. Nie wybaczy mi tego.

Dasza myślała. Zegarek pływał nad jej głową, lśniąc złotem jak maleńka aureola. Gdyby naszą rozmowę słyszał któryś z weteranów, znajdujących się w sąsiednim pokoju, pomyślałby, że zwariowaliśmy.

— W takim razie oddam zegarek Daszy — stwierdziłem. — Kto wie, może się jej przydać.

— Pokornie dziękuję! — odpowiedziała córka. — Po tym, co o nim usłyszałam! O, nie... — i popchnęła zegarek w moją stronę.

Popłynął przez pokój jak pocisk wycelowany prosto w moje serce. Schwyciłem go i zacisnąłem w dłoni tak silnie, jakbym chciał go rozduścić.

— Zatrzymaj go, Sierioża — rzekła mama. — Każdy powinien nieść swój krzyż. Według mnie, jeszcze nie doświadczyłeś wszystkiego, co ci sędzone.

— Tak, najwidoczniej masz rację — stwierdziłem, odszukując dotykami guziczek otwierający kopertę.

— Chodźmy do gości, Dasza — powiedziała mama.

Obie podeszły do mnie i ucałowały jak przed daleką podróżą. Znowu zostałem sam. Trzasnął zameczek koperty i ujrzałem cyferblat...

Strasznie smutno opuszczać przestrzeń, do której zdążyło się już przywyknąć. Te rozłąki podobne są śmierci. Kiedy człowiek odjeżdża na długo, może nawet na zawsze, nigdy nie traktuje owego „na zawsze” jako coś absolutnego, bowiem pozostaje w tym samym świecie, w przestrzeni o tych samych wymiarach co inni. Zasadniczo może powrócić do swych bliskich, nawet jeżeli los czy okoliczności historyczne sprawiają, że powrót ten jest niemożliwy.

Ja nie miałem takiej możliwości. Za każdym razem odlatywałem na zawsze. Za każdym razem, gdy powracałem, powracałem do innych ludzi. Bliscy mi ludzie ciągle nie znali mego absolutnego „ja”, za każdym bowiem razem widzieli tylko jego względną powłokę — kolejnego Siergieja Martyncowa, który dla nich był jedynym, lecz w istocie stanowił tylko cząsteczkę absolutu.

Teraz, odczekawszy kilka sekund, po dokonaniu manipulacji z zegarkiem, powróci do salonu i usiądzie za stołem, ten zaś, absolutny, ten który jest prawdziwym mną, pomknie w inne sfery doświadczenia.

Dokąd teraz biegłem? Czego chciałem?

Chciałem odnaleźć swoje prawdziwe życie, to znaczy takie, które mógłbym pokochać po tym, czego doświadczyłem. Rozumiałem, że nie sposób jest znaleźć takie życie wykonując przypadkowe skoki w inne przestrzenie. Zbyt wiele wariantów losów się tam znajduje, zbyt wiele...

Warianty, które zbadałem były ani lepsze, ani gorsze od innych. Wszędzie jednak, w rozmaitych czasach, spotykałem się z jedną przerażającą mnie okolicznością — brakiem miłości.

W tym leżała przyczyna nieszczęść i samotności moich bliskich. W tym leżała również przyczyna bezcelowości i nudy wszystkich moich żywotów.

Warianty, które przebadałem, wyrastały z jednego pnia. Wyrastały z dzieciństwa; do którego nigdy nie powracałem, obawiając się, że na długo stracę zegarek. Teraz posiadanie go już mnie nie interesowało. Pobawiłem się nim do syta. Pociągał mnie ten moment w życiu naszej rodziny, kiedy matka i ojciec jeszcze się kochali.

Jeszcze się kochali...

Matka powiedziała, że rozwiedli się, kiedy miałem pięć lat. A więc, przez wszystkie pozostałe lata udawali, że się kochają i żyli wspólnie, żeby nie martwić dzieci — mnie i Swietki. Dlatego więc ojciec wciąż wędrował po całej kuli ziemskiej!

I mimo wszystko nie osiągnęli swojego celu, bowiem nie sposób udawać, że się kocha. Można tylko kochać.

Cała nasza podzielona obecnie rodzina wyrosła z tego pnia, kiedy matka i ojciec jeszcze się kochali. Jeszcze się kochali. Jeszcze się kochali...

A potem przestali się kochać — drzewo zmarniało, przekształciło się w odrębne pędy, nie połączone ze sobą nawzajem.

Cofnąłem się o czterdzieści lat. W czasie krótszym niż sekunda z poważnego mężczyzny, który już zaczął się starzeć, z wysokim czołem i brzuszkiem, przekształciłem się w pięcioletniego chłopczyka z prostą, szczeciniastą grzywką, wielkimi szarymi oczyma i szczupłutkimi rączkami i nóżkami.

Ów chłopczyk niczego nie zapomniał, ani jednego wariantu. Znał życie prawie na pół wieku naprzód.

Znalazłem się w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym roku, w grudniu.

Była połowa dnia. Leżałem w łóżeczku w przedszkolu, pewnie odpoczywałem po obiedzie. Wokół mnie leżeli moi rówieśnicy.

Najpierw ostrożnie obejrzałem swoje rączki i nóżki, próbując się do nich przyzwycząić.

Były delikatne i słabiutkie. Omal nie rozpląkałem się z żalu nad samym sobą i poczułem strach — cóż mogę zrobić w tej przestrzeni posiadając tak wątłe ciało, pozbawiony mojego koła ratunkowego — zegarka.

Nie było jednak czasu na rozmyślania. Do sypialni weszła wychowawczyni, Violetta Michajłowna, którą niewyraźnie zapamiętałem jako dorosłą, wysoką ciocię o donośnym głosie. W rzeczywistości okazała się młodziutką dziewczyną, która swobodnie mogłaby być moją córką i przyjaciółką

Daszy, gdybyśmy znajdowali się w poprzedniej przestrzeni. I wzrost miała niewielki, i niegroźny głosik.

— Dzieci, pora wstawać — powiedziała przechodząc między łózkami.

Odrzuciłem kocyk, znalazłem swoje ubranie i z mieszanymi uczuciami wstydu i zdumienia zacząłem nakładać dziecięce rajstopki.

— Sierioża, pomóc ci? — zapytała wychowawczyni.

— Dziękuję. Dam sobie radę sam — odpowiedziałem.

Popatrzyła na mnie ze zdziwieniem, ale nic nie powiedziała.

Kolejne wydarzenia dowiodły, że w tej przestrzeni muszę być bardzo ostrożnym, żeby nie zakłócić równowagi psychicznej otoczenia. Już po południu, w czasie kiedy zajmowaliśmy się lepieniem z plasteliny, co mnie jakoś nie interesowało, przestałem uważać i kiedy znalazłem na stoliku Violetty Michajłowny gazetę „Komsomolska prawda”, zagłębiłem się w lekturę. Chciałem się dowiedzieć, co dzieje się na świecie, a właściwie, co działo się na świecie w czasie mojego wczesnego dzieciństwa. Kiedy przeglądałem kronikę wydarzeń międzynarodowych, poczułem, że ktoś na mnie patrzy. Podniosłem wzrok. Violetta Michajłowna stała obok i patrzyła na mnie z niekłamanym przerażeniem.

— Sierioża, co ty robisz?

— Czytam — odpowiedziałem. — Przecież to widać.

— Umiesz czytać? — zapytała zmieszana. — Przecież przerobiliśmy dopiero trzy literki...

— Wystarczy mi — odparłem i znowu pogrążyłem się w lekturze.

— Ach ty urwisie! Żartujesz sobie ze mnie! — Roześmiała się i dała mi lekkiego klapsa w pupę. — Idź lepić zajączka.

— Violetto Michajłowna, czy pozwoli mi pani nie lepić zajączka? — uprzejmie zadałem pytanie. — Mnie bardziej interesują problemy bliskowschodnie.

Oczy wychowawczyni zrobiły się kwadratowe i jak strzała wybiegła z pokoju. Na korytarzu zastukały jej obcasy.

Pewnie pobiegła do kierowniczkii, pomyślałem zwijając gazetę. Kiedy Violetta Michajłowna wróciła z leciwą kierowniczką, spokojnie lepiłem już zajączka wraz z moimi rówieśnikami.

— A mój zajączek jest ładniejszy! — powiedziała moja sąsiadka, gruba blondyneczka z kokardą.

— Nie powiedziałbym — wzruszyłem ramionami.

Wychowawczynie i kierowniczka gapiły się na mnie jak sroka w gnat.

— Ładniejszy! Ładniejszy! — zawołała koleżanka i zgmiotła mojego zajączka. Zrozumiałem, że jeżeli obecnie uśmiechnę się ironicznie i okażę rycerską powściągliwość, to natychmiast mnie zaprowadzą na badania do dziecięcego psychiatry. Dlatego też zwijając się wewnątrznie ze wstydu, bowiem byłem człowiekiem dobrze wychowanym, wczepiłem się w jej kokardę, wołając:

— Mój zajączek ładniejszy! Mój! Dlaczego popsulaś mojego zajączka?!

Kierowniczka i Violetta westchnęły z ulgą, odciągnęły mnie od koleżanki i postawiły do kąta. Tam miałem dość czasu, aby przemyśleć strategię mojego zachowania w tej przestrzeni.

Koniecznii znowu musiałem zostać dzieckiem, w przeciwnym razie nie uniknę kłopotów. Z drugiej jednak strony, jeżeli będę utrzymywał szczere kontakty z rówieśnikami, skazę się tym samym na duchowy głód. Dwa lata lepić zajączki a potem pójść do pierwszej klasy? To męczące.

Trudno, praktycznie rzecz biorąc, nie sposób okazywać inteligencji, jeżeli się ją posiada. Zresztą i vice versa.

Zadręczałem się myślami czekając, aż mama przyjdzie i zabierze mnie z przedszkola. Bardzo się denerwowałem. Mimo tego, że rozstaliśmy się z mamą zaledwie kilka godzin temu, niemal fizycznie czułem przepaść owych czterdziestu lat, którą przeleciałem. Jak będzie wyglądała moja mama? Czy ją poznam?

Na zajęciach z muzyki uczyliśmy się piosenki „Zawsze niech będzie słońce”. Doskonale pamiętałem tekst i dlatego pierwszy odśpiewałem piosenkę, czym zasłużyłem na pochwałę wychowawczynie. Kiedy śpiewałem „Zawsze niech będzie mama”, w oczach zakręciły mi się łzy. Przeklęta starcza sentymentalność! Moi koledzy powtarzali refren nierównym chórem i bez żadnego uczucia. Jeszcze nie wiedzieli, że mama nie będzie zawsze. Żal mi było tych dzieci i jednocześnie zazdrościłem im.

Ale zamiast mamy przybiegł ojciec. Był chudy i czymś zaaferowany. Szybko pomógł mi się ubrać, zadając przy okazji niepotrzebne pytania: „Co jadłeś?”, „Jakich liter się

uczyliście?” Patrzyłem na niego ze smutkiem, wspominając stypę. Jak ulotne jest życie! Odebrał to po swojemu i powiedział:

— Jakiś jesteś dzisiaj niewyraźny...

W gruncie rzeczy jeszcze nic nie wiedział o życiu.

Po drodze do domu ojciec wszedł do budki telefonicznej i długo rozmawiał z jakąś Lusieńką, tłumacząc się przed nią z jakiegoś powodu i zerkając na mnie. Potem poszliśmy do sklepu i kupiliśmy łańcuch na choinkę. „Kup strzelbę” — poprosiłem ojca. „Nie mam pieniędzy” — odburknął gniewnie. „A kiedy będziesz miał?” — zainteresowałem się. „Daj mi spokój. Nigdy.” — zażartował ponuro. Gdyby mu powiedzieć w tej chwili, że za dziesięć lat będzie przywoził z delegacji dzinsy i wideo, nie uwierzyłby.

Mama przywitała nas jakoś zwyczajnie i posępnie. A mnie z oczu znowu popłynęły łzy. Jaka była młoda i ładna! Z jakim lękiem i czułością pochylała się nade mną widząc, że płaczę! Objąłem ją i wtuliłem się w jej ciepłą pierś. Głaskała mnie i całowała.

— Co się stało, Sierioza? — szeptała.

— Stało się życie — odszepnąłem.

— Co? Co? — nie rozumiała.

I nagle również się rozplakała.

Bardzo szybko odgadłem powód płaczu mamy. Wystarczył tydzień, by zrozumieć, że szczęście naszej rodziny wisi na włosku. Na zewnątrz wszystko wyglądało jak należy, ale wewnątrz dojrzewał konflikt, którego przyczyną, jak się zorientowałem, była niejaka Lusia.

Jak już wspomniałem, moja mama jest maksymalistką. Jej charakter w młodości był taki sam jak w wieku dojrzałym, jeżeli nie bardziej twardy. Z aluzji i niedopowiedzeń rodziców dowiedziałem się, że ojciec zakochał się w maszynistce redakcji, w której wówczas pracował i teraz zdręczał się, nie wiedząc, co począć. Matka, odnosiłem wrażenie, nie miała zamiaru mu wybaczyć, a maszynistce imponowało, że zaleca się do niej kierownik działu w młodzieżowej gazecie. Sprawa zbliżała się do rozwiązania. Mama jak widać miała jeszcze nadzieję, że anonimowy telefon, dzięki któremu dowiedziała się o wszystkim, jest złośliwą plotką. Ojciec starał się ją w tym upewnić, kłamał i wykręcał się tak, że było mi za niego wstyd, ale w rodzinie robiło się coraz bardziej ponuro.

Małeńka starsza siostra niczego nie zauważała. Zdziwiający brak zmysłu obserwacji! Zresztą dopiero nauczyła się czytać oraz dodawać i strasznie zadzierała przede mną nosa

Kiedyś przy kolacji zapytała:

— A ile będzie pięć plus trzy? Aha, nie wiesz!

— Osiem, jeśli musisz wiedzieć — odparłem. — A trzy razy pięć?

Omal się nie udławiła.

— No, to ile będzie trzy razy pięć? — zaciekał się tata.

— Piętnaście — wzruszyłem ramionami.

— A... cztery razy pięć?

— Dwadzieścia.

— A siedem razy... osiem! — z oczami jak spodki spytała mama.

— Pięćdziesiąt sześć — odrzekłem obojętnie.

Nastąpiła długa pauza. Swietka z niepokojem patrzyła to na mamę, to na tatę. Ojciec wziął mnie za rękę i wyprowadził zza stołu do pokoju. Tam przegonił mnie po całej tabliczce mnożenia.

— Skąd to wiesz? — zadał wreszcie pytanie.

— Na zeszyte Swietki jest napisane. Z tyłu — powiedziałem.

Tata sprawdził. Rzeczywiście, na ostatniej stronie okładki zeszytu Swietki była wydrukowana tabliczka mnożenia. Tata chrząknął.

— Posłuchaj, a może jesteś cudownym dzieckiem? — zapytał.

— Zupełnie możliwe — odpowiedziałem.

Wróciliśmy do stołu. Zakończenie kolacji minęło w uroczystym nastroju. Rodzice co chwila sprawdzali tabliczkę mnożenia podejrzewając jakąś sztuczkę, śmiali się i cieszyli. Swietka się na mnie rozgniewała.

Tata zaczął zwracać na mnie uwagę. Kiedy zorientował się, że nagle nauczyłem się czytać i rachować, podsunął mi podręcznik gry w szachy. Po czterech dniach ogrywałem tatę w szachy, ponieważ również i poprzednio, w minionych życiach wygrywałem z nim, kiedy zjawiał się w domu. Tata całkowicie poświęcił się mojej osobie i według mnie zaczął zapominać o swojej maszynistce. Ale ona o nim nie zapomniała.

Pewnej niedzieli poszliśmy z tatą do zoo. Tata szedł z dumną miną, jakby chciał powiedzieć napotkanym ludziom: „Mój syn jest cudownym dzieckiem!”. Przy wejściu do ogrodu zoologicznego czekała na nas przystojna młoda kobieta o pulchnych wargach. Czymś przypominała mi moją żonę Tatianę. Kiedy ojciec ją zobaczył, zmieszał się.

— Dzień dobry, Dymitrze Rodionowiczu — powiedziała wyniośle.

— Dlaczego przyszłaś? Dlaczego pani tu przyszła? — zapytał ojciec.

— Sam pan mówił, że w niedzielę pójdzie pan z synem do ogrodu zoologicznego. Przecież jest pan teraz kochającym ojcem — oznajmiła z gryzącą ironią.

— Przedstaw się, Sierioża. To Ludmiła Pietrowna... — Ojciec zaczął się miotać.

Ludmiła Pietrowna nie patrząc w moją stronę, podała mi łąpkę. Nie zainteresowałem jej.

Weszliśmy w zimowe pomieszczenia ogrodu zoologicznego i przebiegliśmy wzdłuż klatek. Ojciec był zdenerwowany i dlatego się spieszył. Ludmiła Pietrowna milczała.

— Chodźcie, posiedzimy w lodziarni — powiedział ojciec, kiedy wyszliśmy z budynku. Mówiąc to przymilnie popatrzył na maszynistkę. Obojętnie wzruszyła ramionami. Zrobiło mi się żal ojca. Zrozumiałem, że przez swój brak doświadczenia wplątał się w tę historię i teraz nie wie jak się z niej wykaraskać.

W lodziarni usiadłem z Ludmiłą Pietrowną przy stoliku, ojciec zaś stanął w kolejce po lody. Patrząc Ludmile Pietrownie prosto w oczy, powiedziałem lodowatym tonem:

— Ludmiło Pietrowna, czyżby pani nie wiedziała, że ojciec ma rodzinę? Żonę i dwoje dzieci. Jak więc w takim przypadku należy ocenić pani zachowanie?

— Co? Coś ty powiedział? — nie dotarło do niej.

— To, co pani słyszała — ciągnąłem dalej. — Proszę mi nie opowiadać o miłości. To, co się dzieje, nie ma z nią nic wspólnego. Wykorzystuje pani stanowisko służbowe Dymitra Rodionowicza. Na pewno zwalnia panią wcześniej z pracy i udaje, że nie zauważa, kiedy zamiast materiałów redakcyjnych przepisuje pani horoskopy. Czy nie mam racji?

Ludmiła Pietrowna powoli zaczęła zsuwać się z krzesła.

— Proszę, żeby zostawiła pani ojca w spokoju. W przeciwnym razie podejmę kroki — zakończyłem surowo.

— Mnie... ty... co... jak? — zaczęła bełkotać.

Powrócił ojciec z lodami i dwoma filiżankami kawy. Ludmiła Pietrowna z czerwonymi plamami na twarzy zerwała się z krzesła i jak rakieta wyleciała z lodziarni.

— Co się stało? Coś ty powiedział cioci? — zapytał oszołomiony ojciec.

— Powiedziałem cioci, że ma całe plecy wysmarowane na biało! — na całe gardło zawołałem swoim dźwięcznym, dziecięcym głosem. Publiczność naokoło nas zaczęła się uśmiechać.

Ojciec osunął się na krzesło i wypił obie kawy jedna po drugiej.

— A może to i lepiej... — wyszeptał.

W taki oto sposób udało mi się załatwić Ludmiłę Pietrowną. Jak się wkrótce dowiedziałem, zwolniła się z redakcji. Był to jednak dopiero pierwszy krok na drodze wskrzeszenia miłości i pokoju w naszej rodzinie.

Nigdy nie przypuszczałem, że jest to tak długi i mozolny proces. Musiałem myśleć za

dwoje dorosłych ludzi na raz i na dodatek za moją małą siostrę. Ale poświęciłem się temu bez reszty. Tu ważny był każdy drobiazg. Często się o tym zapomniałem w codziennym zamęcie, myśląc, że i tak się uda. Ale wiedziałem z mojego przyszłego doświadczenia, że się nie uda. Prowadziłem precyzyjną pracę wychowawczą. Zrozumiałem, że moi rodzice pobrali się młodo i dlatego byli nieprzygotowani do poważnej pracy duchowej jaką było budowanie rodziny. Oczywiście przeszkadzało mi, że uważali mnie za maleńkiego, chociaż sytuacja ta miała również swoje zalety.

Mogłem się bawić w bezpośredniość. Na przykład widząc ładną kobietę w autobusie, pytałem tatę niewinnie:

— Nasza mama jest ładniejsza, prawda?

Mówiłem to zupełnie szczerze. Ojciec przytakiwał, początkowo niepewnie, ale potem z coraz większym entuzjazmem. Albo proponowałem:

— Chodź, kupimy mamie zabawkę!

— Lepiej kwiaty — mówił tata i tego mi właśnie było trzeba.

Kupowaliśmy bukiet astrów albo mimozy, kiedy właśnie nadeszła wiosna i wracaliśmy do domu z uczuciem, że zrobiliśmy coś dobrego.

Mama stopniowo miękła po tej historii z maszynistką. Początkowo wydawało się jej, że ojciec chce po prostu okupić winę, ale potem zrozumiała, że nie udaje. Miłość potrzebuje potwierdzenia u kogoś postronnego. Ojciec znajdował to potwierdzenie u mnie — śmiech powiedziec! — pięcioletniego chłopca. Nie wiem, dla kogo bardziej się starał, dla mamy czy dla mnie. Zresztą, to to samo. Byliśmy jedną rodziną i miłość była wspólna, tak jak być powinno.

Praca wychowawcza z mamą układała się trudniej. Trzeba było stosować bardziej delikatne metody. Nie bałem się, że zagram fałszywie, bowiem czyniłem to podporządkowując się tej samej miłości. Z całych swoich słabutkich sił starałem się pomagać mamie. Widziałem ją starą i słabą — tam w przyszłości, i dlatego było mi łatwo i prosto. I bez przerwy powtarzałem jej, jakiego mam mądrego, przystojnego i najlepszego na świecie tatę.

Rodzice zaczęli żyć tak, jakby bali się potraścić wagę z wodą. W domu zapanowała pełna czułości cisza, przerywana niekiedy naszym śmiechem. Zaczęło być nam razem ciekawie. Przed snem mama i tata życzyli mi dobrej nocy, a ja, leżąc w ciemności, długo słuchałem ich głosów dobiegających z kuchni. Nie rozumiałem słów, słyszałem tylko ton rozmowy. W taki sposób rozmawiają tylko ludzie darzący się u wagą.

Znajdowałem się w dziwnej sytuacji — poczuwałem się do roli anioła stróża naszej rodziny i jednocześnie rodzina w pełni chroniła mnie przed niewygodami. W przeszłym

dzieciństwie nie doświadczyłem takich uczuć, pamiętam to dokładnie. Ale jednocześnie nie opuszczało mnie poczucie nietrwałości mojego szczęścia, jego krótkotrwałości. Często płakałem wieczorami w ciemnym pokoju ukrywając twarz w poduszkę. Nie miałem ochoty stawać się dorosłym. Już nim byłem.

Wkrótce zrozumiałem, że mama również ma poczucie nietrwałości. Pewnego razu zostałem z nią sam. Tata i Swietka poszli odwiedzić dziadka z okazji Dnia Wojska i Marynarki Wojennej, ja zaś miałem anginę. Leżałem z bolącymi migdałami, a mama poila mnie herbatą z malinami. Odstawiła filiżankę, po czym nagle przywarła wargami do mojego rozpalonego policzka i objęła mnie. Poczułem, że mama drży.

— Mamo, co z tobą? — zapytałem.

— Boję się o ciebie, boję... — powtarzała.

— Wkrótce wyzdrowieję, zobaczysz.

— Ja nie o tym, dziecko. Jeszcze nie możesz tego zrozumieć. Boję się o ciebie w ogóle. Jesteś zbyt dobry.

— Czy można być zbyt dobrym? — zadałem pytanie.

— O to właśnie chodzi, że można. Na świecie jest zbyt wiele złego, jeszcze się przekonasz... Jesteś bezbronny, dlatego, że jesteś dobry.

— A czy dobroć nie jest najlepszą obroną?

Mama odsunęła się ode mnie i ze smutkiem pokiwała głową.

— Skąd się taki wziąłeś? Nigdy nie sądziłam, że mój syn będzie cudownym dzieckiem. Chwilami mam wrażenie, że wszystko rozumiesz...

— Tak właśnie jest — skinąłem głową.

— Synku, nie strasz mnie. Stałeś się jakimś maleńkim staruszkiem. No, pokapryś, czy co...

— Nie bój się mamo — powiedziałem. — Nie jestem cudownym dzieckiem. Nie ma żadnych cudownych dzieci. Po prostu niektóre dzieci były już dorosłe, a nazywają je cudownymi. Były zwyczajnymi dorosłymi i znowu nimi zostaną, kiedy dorosną.

— Jaką masz silną gorączkę — rzekła mama przykładając mi dłoń do czoła. — Czy ty nie majaczysz, dziecko?

— Majaczę — odpowiedziałem.

Chcąc nie chcąc stawałem się centralnym punktem naszej rodziny. Nawet Swietka, choć początkowo była trochę zazdrosna, przekonała się do mojej genialności i zaczęła traktować

mnie z szacunkiem. Jakże nieodpartą jest genialność, nawet pozorna! Ojciec, który w młodości żywił ambitne nadzieje, dawno zrozumiał, że jest zwykłym człowiekiem, choć nie pozbawionym uzdolnień, które pomogą mu przyzwoicie przeżyć życie. Ale nic poza tym. Teraz przeniósł swoje nadzieje na mnie i zaczął jednocześnie przygotowywać mnie do tytułu szachowego mistrza świata, jak również kariery genialnego muzyka i poety. Pewnego razu na dwóch stroniczkach napisałem krótkie sprawozdanie ze swojej podróży w rok dwutysięczny. Staralem się pisać dziecięcym charakterem. To było najtrudniejsze. Ojciec zaniósł kartki do redakcji, tam mu nie uwierzyli. Pomyśleli, że sam wszystko napisał. Ojciec się zdenerwował, ale jeszcze bardziej umocniło to jego wiarę. Rzeczywiście, na pierwszy rzut oka przejawiałem niezwykle, fantastyczne zdolności. A ja po prostu byłem dawnym dorosłym.

Nikt wokół mnie nie rozumiał, że najbardziej niezwykłymi walorami dla każdego wieku zawsze były i będą — miłość, dobroć, mądrość, a wcale nie umiejętność wydobywania dźwięków ze skrzypiec, układania zdań czy też przesuwania drewnianych figurek.

Martwiło mnie to i starałem się nie wyróżniać. W każdym razie kiedy nadeszła pora nauki, zdecydowanie odmówiłem pójścia do którejś z tych rozmaitych nadzwyczajnych szkół. Poszedłem do tej samej szkoły, w której kiedyś sam się uczyłem i do której chodziła moja córka Dasza. Tam znowu poznałem moich przyszłych przyjaciół — Maksa, Marinę i Tolika. Byli jeszcze zupełnie głupiutcy.

Strasznie trudno było przełamać swoją ambicję. Tak łatwo mogłem zadziwić bliskich, nauczycieli i rówieśników, że groziło to przekształceniem się w zawód. Jednak zbyt dobrze wiedziałem, że trzeba będzie zapłacić za to zbyt wysoką cenę w przyszłości. Natura nie obdarzyła mnie szczególnymi zdolnościami i w miarę zbliżania się do wieku młodzieńczego, owa złota skarbnica genialności nieuchronnie by topniała, ponieważ wynikała jedynie z życiowego doświadczenia, które spadło na mnie jak z nieba. Doskonale zdawałem sobie sprawę jak wielkie będzie rozczarowanie bliskich i złośliwa radość obcych, kiedy nie spełnię nadziei. Szczególnie przejmowałem się ojcem. Drugiego krachu swoich marzeń by nie przeżył. Koniecznie musiałem przygotować go do swoich rozczarowań.

Przygotowanie do rozczarowań — to konieczny warunek szczęścia. Tak lubimy ulegać czarowi samych siebie i swojej przyszłości, jesteśmy w tej kwestii tak nieobiektywni, że wynikające zupełnie z natury rzeczy przeszkody, ślepe uliczki i trudności przyjmujemy jak niezасłużone ciosy losu. Zbyt wiele chcemy od życia, zapominając, że tego samego chcą i wszyscy inni. Ale życie dysponuje ograniczonymi zasobami szczęścia. Nie warto dążyć do posiadania zbyt wielkiego kawałka, wystarczy umieć rozkoszować się małym. Staje się to tak oczywiste, kiedy człowiek przespaceruje się po zakamarkach własnego losu wciąż

napotykać niespełnione nadzieje i pozorne cele.

Pewnego razu ojciec zapytał:

— Sierioża, zupełnie zarzuciłeś szachy. Dlaczego?

— Przestały mnie interesować — odpowiedziałem.

— Niesłusznie. W twoim wieku rzadko kto tak gra. Mógłbyś zostać arcymistrzem, kiedy dorośniesz.

— Po co? — spytałem.

— Żeby potem zostać mistrzem świata.

— Po co? — powtórzyłem.

— Żeby być pierwszym w kręgu swoich działań. Żeby wszyscy cię znali — powiedział ojciec, zaczynając się trochę irytować.

— Po co? — zapytałem znowu.

— Żeby być niezależnym! Jeździć po świecie! Żeby wszyscy cię kochali! — krzyknął ojciec.

— A czy mnie nie kochają? — spytałem.

— Kto? — ojciec zmieszał się.

— Ty, mama, Swietka.

— Oczywiście, że kochamy... Ale... to za mało.

— Dla mnie wystarczy — odparłem. — Tylko kochajcie mnie tak, jak ja was kocham.

Wystarczy na całe życie. I jeszcze zostanie.

— Nie, nie będziesz mistrzem świata — mruknął ojciec. — Będziesz filozofem.

Ale ja już dawno byłem filozofem...

Każdy człowiek, który przeżyje życie niechybnie staje się filozofem. W przeciwnym razie nic nie jest wart.

Nie, nie miałem ambicji tworzenia doktryn filozoficznych. Mówię o filozofii w sensie życiowym.

Kiedy ktoś pyta: „Jak postępować, żeby było mi dobrze?” — to nie filozofia, lecz egoizm.

Kiedy ktoś pyta: „Jak postępować, żeby wszystkim było dobrze?” — to również nie filozofia, lecz altruizm.

Filozofia zaczyna się wówczas, kiedy zadajemy sobie pytanie: „Jak pogodzić pierwsze z drugim?”

Istnieje odpowiedź na to pytanie, ale ja nie znam jej.

Jedyną rzeczą, którą zajmowałem się z pasją w moim nowym dzieciństwie, była muzyka. Rodzice kupili mi gitarę i zacząłem chodzić do szkoły muzycznej. Mówiąc ściślej, prowadzono mnie do niej za rączkę — to tata, to znów mama, czy siostra. Nie czułem się tym ponizony. Takie były reguły gry.

W trzeciej klasie grałem już znośnie na gitarze i śpiewałem piosenki Beatlesów po angielsku, czym wprawiałem rodziców w zakłopotanie. W owych czasach muzyka taka była jeszcze ogólnie nie uznana przez dorosłych.

W zwyczajnej szkole starałem się być taki, jak wszyscy. Ale nie udawało mi się to. Kiedy próbowałem przekonać moich rówieśników o konieczności posiadania filozofii życiowej, wyśmiewano mnie. Odrabianie lekcji nudziło mnie, dlatego niekiedy nie wiedziałem, co przerabiamy i przez pomyłkę zdradzałem się posiadaniem wiadomości ze starszych klas, to zaś było uznawane za zadzieranie nosa i chwalipięctwo. Ze wszystkich sił starałem się widzieć w moich rówieśnikach zwykle dzieci.

Zaczęto mnie bić.

Gromada dzieci z klasy wśród której były również dziewczynki, czatowała na mnie po lekcjach na podwórku szkolnym. Rzucano się na mnie i bito teczkami, starając się trafić w głowę. Na próżno przywoływałem ich do porządku — kosztowało mnie to kilka dodatkowych ciosów.

Nie oddawałem im i nie skarżyłem się. To jeszcze bardziej ich nastawiało przeciwko mnie.

Życie stawało się dość trudne do zniesienia.

Na obchody rewolucji — miałem wtedy już dziesięć lat — na Nową, jak zawsze wpłynęły okręty wojenne, by wziąć udział w paradzie. Dziadek, który wykładał wtedy w Wyższej Szkole Marynarki Wojennej, zaprosił naszą rodzinę na przejażdżkę. Pomknęliśmy po Nowej kutrem, który pozostawiał za sobą śnieżnobiały ślad. Kuter przycumował do burty krążownika i weszliśmy na pokład. Dowódca powitał dziadka — był jego dawnym uczniem i podwładnym.

Dziadek sam oprowadzał nas po krążowniku. Wszystko było tu stalowe — pokład, kominy, działa. Wreszcie zeszliśmy na dół, do mesy, w której odbywał się koncert. Przed marynarzami występowali pionierzy z Pałacu Kultury imienia Leningradzkiej Rady Narodowej.

Nagle dziadek powiedział:

— Sierioża, może też byś zagrał coś i zaśpiewał. Dziś święto.

Zrozumiałem, że podobnie jak ojciec bacznie śledzi moje sukcesy. Podano mi gitarę, konferansjer zapowiedział moje nazwisko.

— Tylko nie śpiewaj po angielsku, bardzo cię proszę — zwrócił się do mnie dziadek.

Znalazłem się na scenie. Patrzyli na mnie marynarze. Cóż im zaśpiewać? Uderzyłem akord i zacząłem:

*Ciemna już noc,
Tylko w stepie wciąż słychać kul gwizd,
tylko świszczce w przewodach wiatr,
mgliście gwiazdy migoczą...*

Mój dziecięcy głos dźwięczał jak struna, a gitara wtórowała mu miękkimi pasażami. Zobaczyłem jak dziadek odwraca się, a na jego żyłastej szyi zaczęło podrygiwać jabłko Adama, jak mama wyciąga z torebki chusteczkę, jak zasępił się ojciec, a na twarzach młodych marynarzy pojawił się smutek. Właśnie tam, na małej estradzie mesy zrozumiałem, że pieśni nie śpiewa się głosem, czy nawet sercem, ale całym przeżyтым życiem. Moje życie było wielkie i pokancerowane przeze mnie samego i dlatego głos mój brzmiał szczerze, szarpał duszę.

Na bis zaśpiewałem "Milion szkarłatnych róż". Po koncercie marynarze okrążyli mnie i jeden przez drugiego prosili o słowa. W tym momencie przypomniałem sobie, że piosenka jeszcze nie powstała, że pojawi się później i dlatego wywołała takie zainteresowanie.

Wzruszony dziadek zawiózł nas do siebie do domu na uroczysty obiad. W czasie drogi zapytał mnie:

— Co to za piosenka o różach, Sierioża?

— Gdzieś usłyszałem — odpowiedziałem wymijająco.

— Nasza ładniejsza — stwierdził dziadek. Miał na myśli „Ciemną noc”.

W salonie u dziadka, tak dobrze mi znanym z różnych przestrzeni był nakryty świąteczny stół. Na ścianie wisiał portret babci, wykonany w jej młodości. Usiedliśmy przy stole w statecznym milczeniu i dziadek podniósł kryształowy kielich z winem.

— Dzisiaj mama byłaby z nas zadowolona — powiedział patrząc na portret babci. — W naszym domu panuje spokój i szczęście. Uczcijmy jej pamięć!

Nagle wyobraziłem sobie wielką ilość przestrzeni, w których żyliśmy — w jednej lepiej, w innych gorzej — i spróbowałem wyobrazić sobie ów dzień we wszystkich jego

wariantach i nastrojach jako pęd przyszłego życia w każdej przestrzeni, bowiem każdy dzień, a nawet minuta, jest takim pędem przyszłości. Obecnie w naszej rodzinie panował spokój i szczęście. Nie oznacza to wcale, że w przyszłości wszystko ułoży się gładko, ale tę minutę, ten dzień zapamiętamy wszyscy. W istocie, nasza przeszłość składa się z chwil radości i smutku, wstydu, zachwytu, poniżenia, miłości. Obecnie była chwila miłości, którą chciało się zatrzymać dłużej.

Wymknąłem się z za stołu, szepnąwszy mamie, że zapomniałem umyć ręce. Ale nie poszedłem do łazienki. Skręciłem do gabinetu dziadka. Było w nim tak jak zawsze. Ten gabinet, podobnie jak zegarek, był absolutny, nie zmieniał się w żadnej czasoprzestrzeni. Podeszedłem do biurka. Zegarek leżał w tym samym miejscu, obok kałamarza, przyciśnięty dużym spinaczem. Poczulem podniecenie. Oto i on, mój zadziwiający, kuszący, sprawiający cierpienia! Stęskniłem się za nim.

Stuknąłem palcem w kopertę i zegarek wyfrunął spod spinacza, prześliznął się po zielonym suknie biurka i poleciał przez pokój równolegle do podłogi. Schwytałem go i nacisnąłem guzik zameczka. Wieczko koperty otworzyło się.

Ogarnęła mnie szaleńcza ochota, by skoczyć. Ale dokąd? Po co? Czyż nie upewniłem się, że kawałki losu nie dadzą się zlepić w całościowe życie, że należy przeżyć je bez przerw od początku do końca?

Jednakże pragnienie było silniejsze. Przyzwyczailem się do latania w przestrzeniach. Stałem się więźniem zegarka.

Jak zawsze, umysł usłużnie podsunął mi motywację. Całe mnóstwo motywacji. W rodzinie zapanował spokój, nawet szczęście. Moja stała obecność nie jest już niezbędna, a zresztą nikt nawet nie zauważy mojego braku, bowiem pozostawiam w każdej przestrzeni swego sobowtóra. Nudzi mnie i męczy wspólne oczekiwanie razem z moimi rówieśnikami na chwilę, w której stanę się pełnoletni i dziadek znowu podaruje mi zegarek.

Biją mnie w szkole. Czyż to nie powód?

Chcę znowu stać się dorosły!

I nagle przypomniałem sobie o Marinie. Myśl ta przeszła mnie jak ból. Jakże mogłem zapomnieć, że w czasie gdy urządzam tu szczęście rodzinne, a maleńka Marina czyha na mnie z kolegami na szkolnym podwórku, żeby przyłożyć mi teczką, tam w przyszłości dosłownie wegetuje nasza miłość, a potem co gorsza. Marina zostaje żoną Tolika?!

No, choć rozerwij się, człowieku! W każdym wariacie jakiś kłopot, albo „wyciągniesz ogon, to grzywa uwięźnie”, jak mówił mi za wiele lat pewien starszek w Tiumeniu, kiedy opowiedziałem mu o wariantach mojego losu.

Mimo to jednak decyzja została podjęta. Lecę tam, do owego kamienia węgielnego, głazu, na którym miało miejsce nasze wyznanie miłosne. Tam został określony bieg wielu dalszych spraw.

Pamiętałem każdą minutę tego dnia w obozie młodzieżowym i dlatego nie miałem najmniejszego kłopotu z ustawieniem wskazówek. Nabrałem powietrze w płuca jak przed skokiem z trampoliny i ruszyłem w swoją przyszłość.

Znowu leżeliśmy na głazie. Z przyjemnością patrzyłem na swoje młodzieńcze ciało — zupełnie jakbym przymierzał nowe ubranie po zdjęciu starego, z którego już wyrosłem. Z takimi mięśniami można walczyć o szczęście. Leżąca obok Marina również w niczym nie przypominała tej długonogiej dziewczynki z trzeciej klasy.

— Będzie dziś dyskoteka? — zapytała.

— Dyskoteka? — powtórzyłem.

Niesamowite było, usłyszeć to słowo po moich szaleńczych wędrówkach w czasie.

— No tak, dyskoteka — powiedziała.

— Będzie, wszystko będzie — odparłem.

Odwróciła się w moją stronę. W jej oczach dostrzegłem zaniepokojenie.

— Jesteś jakiś inny...

— Masz rację — skinąłem głową przypatrując się jej.

Starąłem się znowu przeżyć tę chwilę, ten słodki moment, w którym zatrzymuje się oddech, a uderzenia serca czuje się aż w gardle. Ale nic takiego nie zaszło. Przede mną była milutka i głupiutka dziewczynka, w której dopiero pół godziny temu obudziła się kobieta. Teraz, owa ledwo rozbudzona kobieta patrzyła na mnie ze zdumieniem.

— A co tam jest w środku? — zapytała, dotykając palcem zegarek wiszący na mojej szyi.

Bez słowa otworzyłem wieczko i pokazałem jej tarczę zegarka.

— Oho! — powiedziała. — Skąd go masz?

— Dziadek mi podarował — odrzekłem.

— Jaki lekki — zdziwiła się, biorąc zegarek do ręki.

Pochyliła się nad moją pierś jak wówczas i poczułem jej urywany, gorący oddech. Wyraźnie oczekiwała na jakiś gest z mojej strony, przedłużała tę chwilę, ja zaś patrzyłem na jej zarumieniony policzek i loczek koło ucha, nie czując się na siłach nie tylko ją pocałować, ale nawet dotknąć. Ogarnęła mnie bezgraniczna litość, litość nad oczekującym ją życiem, jej miłosnymi cierpieniami, mękami, w których będzie rodzić dzieci, litość nad jej starością i

odległą śmiercią.

Dotknęła wargami mojego ramienia. Byłem nieruchomy jak głaz, na którym leżeliśmy. Marina odsunęła się i z niezadowoleniem popatrzyła na mnie.

— Pójdziemy? — zapytała wstając.

— Pójdziemy — potrząsnąłem głową.

I to wszystko. Żadnego lasu pachnącego dynią, żadnej kukułki prorokującej nam lata szczęścia. Niczego z tych rzeczy nie było w tej przestrzeni, bowiem wiedziałem i czułem zbyt wiele jak na moje nominalne szesnaście lat.

Przysięgam, kochałem ją jak dawniej, ale między nami leżała przepaść mojego doświadczenia, przepaść, którą nie sposób było przeskoczyć. Moje uczucia w tej chwili przypominały mi raczej te, które żywiłem w Tiumeni, kiedy spotkałem się z Daszą.

Mówiąc krótko, tutaj również nie udało mi się zostać egoistą — znowu wybrałem altruizm. Każdy, kto powłóczył się po czasie, chcąc nie chcąc, zostawał altruistą.

Wieczorem była dyskoteka. Tańczyłem niepewnie, niezgrabnie. Już nie dostrzegałem w tym najmniejszego sensu. Wolne tańce tańczyliśmy z Mariną, przy czym czułem, że jest całkowicie w mojej mocy, że czeka na działania z mojej strony. Ale wciąż byłem stateczny i uprzedzająco grzeczny jak stary arystokrata tańczący ze swoją szesnastoletnią córką.

Tolik kręcił się obok, patrząc na nas płonącym wzrokiem.

— Martyn, powiem Maksowi, że mu rwiesz Marinkę — powiedział wreszcie w dogodnym momencie.

Uderzyłem go w twarz. Miałem obrzydliwe uczucie, że ja, dorosły człowiek, biję zasmarkanego szczeniaka. Z drugiej jednak strony, ten szczeniak był ode mnie wyższy i silniejszy.

Zrobiła się awantura. Próbowali nas rozdzielić, ale Marina krzyknęła nagle.

— Nie trzeba! Odejdźcie od nich.

Utworzono ring i pilnowano by pojedynek odbył się fair, a my z Tolikiem biliśmy się w nim zawzięcie jak młode koguciki. A właściwie ja byłem starym kogucikiem.

Bilem go za przeszłość, kiedy to tchórzliwie chował się w tłumie, czyhającym by się ze mną rozprawić, i za przyszłość w której został mężem Mariny. Okazało się, że wewnętrzne przekonanie i doświadczenie duchowe mają większe znaczenie, niż brutalna siła. Ku zdziwieniu współuczniów zwyciężyłem Tolika.

— Dobra, Martyn! Jeszcze się policzymy! — wychrypiał, ocierając krew z wargi.

Nie uznałem za konieczne powiedzieć mu, że już raz się ze mną policzył w przeszłości.

Opatrując moje rany po bójce. Marina zapytała:

— Sierioża, biłeś się z mojego powodu?

— Coś ty! Za Maksyma — burknąłem.

Zdaje się, że była rozczarowana.

A potem straciłem całą dziesiątą klasę na to, żeby pogodzić ją i Maksyma, znowu ich zaprzyjaźnić i podtrzymać przyjaźń. Pielęgnowałem ich miłość z taką troską, jakby rzeczywiście byli oni moimi dziećmi. Zresztą, starałem się i dla samego siebie. Wiedziałem, że łatwiej nam będzie iść razem przez życie, i że nigdy nie zdradzimy się nawzajem.

A Tolik? Wcale nie było mi go żal.

I oto w kalendarzu mamy dziś czerwiec 1985 roku.

Marina i Maksym szykują się do egzaminów na filologię. Chyba tym razem Maks się dostanie. Tolik idzie do Wyższej Szkoły Handlowej. Swietka już dawno urodziła siostrzeńca Nikitę i teraz muszę się zająć jego wychowaniem, bo wiem, co z niego może wyrosnąć. O Pietieczce też muszę myśleć, żeby nie wplątał się w najrozmaitsze wątpliwe przedsięwzięcia.

Mama i ojciec żyją tym razem dobrze i zgodnie. I co najważniejsze w tym wariancie — dziadek nie umarł, żyje, pisze swój pamiętnik, który już czytałem.

Ale co ja mam robić? Oto najważniejsze pytanie.

Mam swoją gitarę i doświadczenie życiowe wszystkich wariantów, jakiego nie ma nikt. Żeby wyśpiewać to wszystko, co wiem, nie starczy mi całego nowego życia, które obecnie otrzymałem jakby w prezencie, jak dogrywkę w meczu piłki nożnej, kiedy w podstawowym czasie gry nie udało się uzyskać rozstrzygającego rezultatu. Trącam struny analizując warianty losu i wszystkich moich sobowtórów, znajdujących się w różnych przestrzeniach. Przed artystą powinny jednocześnie odsłaniać się wszystkie horyzonty życia. Chcę zostać artystą, choć orientuję się, że samo doświadczenie życiowe, choćby nie wiem jak dziwaczne, nie wystarczy. W gruncie rzeczy, człowiek potrzebuje tylko jednego życia, inne są zbędne. Wszystko można zdążyć zrobić, jeżeli rozsądnie się je wykorzysta. I dlatego nie sądzę, by znowu był mi potrzebny zegarek. Mam pewien pomysł. Kiedy ukończę te notatki, chcę wypuścić zegarek z okna, z ósmego piętra naszego domu, żeby płynął nad ziemią w dalekie kraje, pędzony wiatrami i burzami nad planetą, aż do chwili, gdy wpadnie w ręce komuś, kto jeszcze raz spróbuje przy jego pomocy znaleźć swoje szczęście.

Może uda mu się lepiej niż mnie.